Świat MŁODYCH

Nr 3 | WARSZAWA 21. II. 1949 r. | 10 zł

PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ I SZKOLNEJ

NA SWOJSKĄ NUTĘ

Skusiła mnie muzyka. Skoczna, wesoła, taka, że same nogi rwały się do tańca.

Idąc ulicą (ulica nazywa się Szkolna i leży na krańcach miasteczka) przypomniałam sobie, że oświetlony barak, z którego tę muzykę słychać jest szkołą i że tu właśnie uczy się Hanka.

Hanka mieszka razem ze mną.

— Walc, jest właściwie „odstępstwem“ od hasła naszej zabawy: **Tańczymy tylko na swojską nutę.** Nasze ludowe tańce są przecież o wiele lepsze od tang i foxtrottów.

×

Tańczące pary zatrzymują się.

— A teraz niespodzianka woła wodzirej.

Niespodzianka jest rzeczywiście pomysłowa. 3 tańce — trzy pokolenia.

Prześcieradło, wdzięcznie imituje krynolinę, wachlarz jest zrobiony z papieru i... w rytmie walca do słów — „W starych nutach babuni“ tańczy „babcia“ z „dziadkiem“. „Rodzice“ tańczą tango, a córka i syn...

— Obereczek — woła wodzirej.

— Idę dzisiaj na zabawę... idę dzisiaj na zabawę — śpiewała rano pakując książki do teczki.

— A umiesz tańczyć — spytałam.

— Lepiej od ciebie. Na gimnastyce nas uczą.

I „kujawiakowym“ krokiem wybiegła z mieszkania.

Mój krok, kiedy wchodzę do budynku szkoły jest też mimowoli „kujawiakowy“. Bo właśnie orkiestra złożona z kilku harcerzy gra „Czerwone jabłuszko...“

×

W wiklinowym koszyczku piętrzą się czerwone, apetyczne jabłka. Obok ciastka, dobre ciastka.

Hankę spotykam przy bufecie. Oboje z Jurkiem, kolegą z jednej klasy, pałaszują słodycze.

— Prędzej — niecierpliwi się Hanka — nie możemy stracić ani jednego tańca. No, kto pierwszy skończy swoje ciastko. Raz, dwa, trzy...

×

— Raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy... — liczy półgłosem jakaś para, nie mogąca sobie poradzić z walcem.

Walc jest niebylejaki, bo kotylionowy. Tańczymy wszyscy, nie wyłączając kierownika szkoły. Mój partner, przewodniczący koła ZMP, jako gospodarz zabawy mówi mi:

I teraz okazuje się, że świetlica jest właściwie za ciasna. Chłopcy przytupują tak, że mało sali nie roznioså. W oszałamiającym pędzie migają tylko roześmiane twarze, szare harcerskie i granatowe szkolne mundurki, furkocą spódnice dziewcząt. Rozwieszone na ścianach i u sufitu pęki kolorowych, bibułkowych wstążek porwane ogólnym pędem fruwają w powietrzu.

— Oberek, obereczek — przyśpiewuje orkiestra.

— Hej, dziś, dziś — śpiewa Hanka.

— A od jutra do nauki — dodaje znalazłszy się razem z partnerem obok mnie. — Bo we wtorek klasówka z matematyki.

W.

W NUMERZE:

Jak „[illegible]“ zbudowali radio w szkole str. [illegible]

„[illegible] nad Arktykiem“, czytaj na str. [illegible]

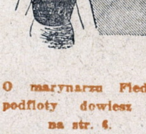

O marynarzu Fiedli z podfloty dowiesz się na str. 6.

Jest karnawał. Bawią się starzy i młodzi. Sale szkolne, świetlice, izby drużyn, rozbrzmiewają muzyką i radosnym gwarem w sobotnie i niedzielne wieczory.

Po pracy, po nauce, szukamy rozrywki, chcemy tańczyć, śpiewać i śmiać się. I to dobrze. I tak trzeba.

Tylko pamiętać musimy, że między zabawą a zabawą, rozrywką a rozrywką jest duża różnica, taka sama jak między dobrze a źle wykonaną pracą.

Dlatego starajmy się posiąść trudną sztukę ładnego bawienia się, pożytecznego spędzania czasu wolnego od pracy i nauki. Nie tylko w karnawale.

Partyzant malajski na posterunku

BYŁO to bardzo dawno. My z Alą byłyśmy wtedy początkującymi zastępowymi. Marian o parę lat od nas starszy, chętnie podejmował interesujące nas tematy.

— Nie, mówił — potrząsając po swojemu czupryną — nie jestem wrogiem marzeń, ale uważam, że są marzenia dobre i złe.

Dyskusja toczyła się jak zwykle o harcerstwie.

Tym razem szło o braterstwo.

— Ja też chcę, żeby ludzie stali się braćmi — ciągnął Marian — żeby jedni nie krzywdzili drugich, żeby nie było wojen...

Więc staram się odkryć co stoi na przeszkodzie moim dążeniom i co trzeba robić, żeby się spełniły naprawdę.

Wy mówicie: wystarczy, żeby było dużo dobrych skautów we wszystkich krajach. A to nie jest prawda, i dlatego uważam, że wasze marzenie jest złe.

Milczałyśmy obie z Alą. W tym [illegible] częta pisały przecież listy do skautów za granicą, a cała drużyna marzyła o wyprawie na Jamboo. Nie byłyśmy przekonane.

— Więc co trzeba robić według ciebie? — spytała Ala.

Marian, który dotąd chodził po pokoju zatrzymał się, potrząsnął znowu czupryną, spojrzał na nas i nagle przygasł...

— Co wam tam będę mówił — powiedział ciszej i machnął ręką.

Nie wiem dlaczego przypomniało mi się wtedy, że ojciec nie lubił Mariana i raz słysząc naszą dyskusję, powiedział:

— Proszę chociaż z dziećmi nie zaczynać o polityce.

×

Minęło wiele lat. Przyszła najstraszniejsza z wojen. Zrozumieliśmy, że nie może być braterstwa, póki jedni ludzie żyją kosztem innych. Na wiele rzeczy patrzymy dziś inaczej:

W Ameryce jest najwięcej skautów na świecie.

W Ameryce czarnym dzieciom nie wolno uczyć się w szkole obok białych dzieci.

×

We Francji odbyło się pierwsze po wojnie Jamboo pokoju. Starsi skauci francuscy jako dobrzy żołnierze strzelają do walczących o swoją wolność żółtych chłopców z kolonii francuskich.

×

Holandia toczy wojnę w Indonezji, której naród domaga się własnego państwa.

W Holandii jest kilka organizacji skautowych.

×

Wiem dobrze co chciał dawno temu powiedzieć Marian:

Skauci amerykańscy, francuscy, holenderscy marząc o braterstwie skautowym, nie widzą co się dzieje naprawdę obok nich.

Zadawalają się tylko marzeniem, które nie jest niczym innym jak zasłoną dymną „chroniącą“ przed dojrzeniem istotnych przyczyn wyzysku i istotnej linii podziału.

Dzieje się to wtedy, gdy trzeba właśnie stanąć do walki o nowy porządek świata. Taki w którym ludzie będą naprawdę braćmi.

W długi czas po tamtej rozmowie, dowiedziałam się, że Marian był członkiem Komunistycznego Związku Młodzieży. W 1936 roku wyjechał bić się o wolność Hiszpanii.

Wyjechał aby wespół z robotnikami Hiszpanii — walczyć przeciwko nosicielom krzywdy i wyzysku tej Hiszpanii. Bo tak rozumiał braterstwo.

Chciałabym mu powiedzieć, że my dziś rozumiemy tak samo. 22 lutego skauci różnych krajów obchodzą Dzień Myśli Braterskiej — wspominają się wzajemnie życzliwie, przesyłając sobie miłe listy i drobne upominki.

21 lutego Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej ogłasza dzień braterskiej pomocy dla walczących o swoje prawa, młodych chłopców i dziewcząt, uciskanych krajów kolonialnych.

Polscy harcerze i harcerki potrafią już dziś zrozumieć który z tych dwóch dni, jest naprawdę świętem braterstwa.

W. DEWITZOWA

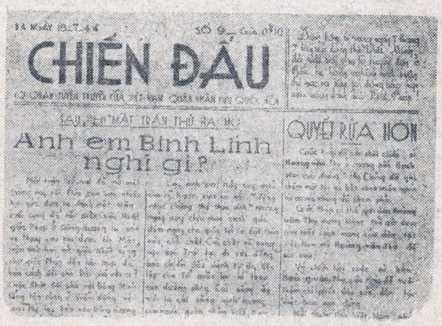

CHIẾN ĐẤU

Anh em Binh Lính nghĩ gì?

Konspiracyjna gazetka vietnamska

JAMES GRANT

LISTY Z SUMATRY

Na amerykańskich dodge'ach i w amerykańskich hełmach uganiają po Sumatrze lotne brygady pacyfikacyjne. Po ich przejściu pozostają wśród dżungli tylko dymiące zgliszcza zniszczonych wsi i groby rozstrzelanych „zakładników".

KOBU, w grudniu

Zgarniam z twarzy wielką czerwoną ważkę i ukradkiem spoglądam na zegarek. Trzeba iść, Otanga pewnie już czeka. Wkładam ukradkiem do kieszeni pudełko ze strzykawką i ampułki surowicy. Jeszcze paczuszka gazy.

Stary Beelen patrzy na mnie podejrzliwie z nad szklanki pełnej lodu z wódką. Przez chwilę cierpnę ze strachu, że może mi dać do towarzystwa któregoś z holenderskich „aniołów stróżów". Tak, tu, na Sumatrze, granica między pojęciem gościa i więźnia zaciera się dziwnie łatwo...

Kobu to jeden z ośrodków zagłębia naftowego niedaleko Palembangu. Piekło w miniaturze. Biały żar, pijawki pod każdym liściem, trawa alang - alang, która tnie nie gorzej od noża. No i Holendrzy. Właśnie mijam patrol, wychodzący z rafinerii nr 2. Siedmiu olbrzymów w rozpiętych koszulach, zawiązanych pod szyją chustkach i białych kaskach. Mijają mnie obojętnie. Ich tępe oczy wypatrują tylko Malajczycy. Każdy robotnik, który niesie jakikolwiek pakunek zostaje przez nich natychmiast zatrzymany i zrewidowany. Strach przed sabotażem i dywersją dochodzi u Holendrów do histerii. Wczoraj widziałem sam, jak strzelali nad rzeką do jakiejś dziewczyny, która na drugim brzegu goniła stadko białych zebu. Wydawało się im, że pośpiech dziewczyny musi być związany z jakąś akcją „terrorystyczną".

Otanga czeka na mnie w umówionym miejscu, koło wodopoju. Nikniemy w mroku i brzegiem pól trzciny cukrowej kierujemy się do wioski. Uderza mnie posępny nastrój Otangi. Pytam cicho:

— Otanga, znowu coś niedobrego?

Chłopak oblizuje spuchnięte wargi. Szepce mi do ucha, nie przerywając marszu:

— Tutaj, panie nie trzeba zostawać dłużej...

— Gdzie tutaj? Nad rzeką?

Otanga zaprzecza ruchem głowy.

—Nie, panie. Tu, w Kobu. Nie trzeba dłużej. Tu może się stać coś złego...

— Co?

Otanga chrząka z przejęcia. Mruczy:

— Ja sam nie wiem. Czuję panie, w powietrzu, coś brzydkiego.

Poznałem go przypadkiem trzy tygodnie temu, kiedy Otanga dostał gangreny, zabrudziwszy sobie ranę na ręce. Lekarz kompanii naftowej nie udzielił mu, rzecz prosta, pomocy. Lekarze na Sumatrze leczą tylko białych. Po to przywieziono ich tu z dalekiego Amsterdamu. A Malajczycy? Jest ich przecież tak wielu. Czy warto sobie zaprzątać nimi głowę?

Indonezyjscy chłopcy trzymają się mimo przewagi nieprzyjaciela. A no, wobec tego Holendrzy wprowadzają do walki dalsze środki ogniowe, zaczynając od widocznych na zdjęciu granatników, a kończąc na samolotach bombowych.

Od tego czasu przychodzę ukradkiem do wioski, położonej o kilometr drogi za rafinerią. Przynoszę chininę, bo we wsi szerzy się malaria. Leczę zakażenia, wstrzykuję surowicę przeciw jadowi węży. Ogarnia mnie przerażenie na myśl, że pewnego dnia stary Beelen zorientuje się, iż okradam apteczkę Delegatury. Wtedy wieś znowu zostanie bez pomocy.

Wieś Kobu jest ponura. Nikt nie śpiewa. Cisza. Pamiętam wsie malajskie sprzed dwu lub trzech lat, wsie, które leżały na Jawie w pasie zajętym przez republikanów. Zapełniał je najweselszy tłum pod słońcem. Ale to było dawno...

Chata Otangi. Wchodzi się po drabinie z bambusa. Wewnątrz ktoś cichutko jęczy. To siostra Otangi, Oya.

— Co jej jest — pyta cichutko chłopak po zakończeniu badania.

Smutnie kiwam głową.

— Strasznie wyczerpana. Szkielet nie człowiek. No i wylew krwi do mózgu. Odbite nerki... Kto ją tak urządził?

Właściwie po co się pytać? Wiadomo. Prawie codziennie mam do czynienia z takim wypadkiem. Może nie chciała reagować na zalecanki holenderskich żołnierzy, może zatarł się któryś z motorów, przy których pracowała.

— Czy wyleczysz ją, panie?

Patrzę w milczeniu na dalekie światła rafinerii. Olbrzymia hucząca fabryka, kuźnia nędzy. Co mam odpowiedzieć Otandze? Prawdę?

Wracam około północy. Odprowadza mnie mój brunatny przyjaciel. Mówi —

— Będzie jeszcze inaczej, zobaczysz, panie.

Wiem, że Otanga należy do tajnej organizacji młodzieży indonezyjskiej. Otanga jest komunistą. Ma za sobą niejedno. Jako młodziutki chłopak walczył w partyzantce przeciw Japończykom. Potem służył krótko w republikańskiej armii Soekarny. Ale na jesieni Soekarno dał się wziąć do niewoli generałowi Spoorowi. Malajczycy określali to krótko mianem „zdrady". Indonezję zalała żelazna fala okupacyjnych wojsk holenderskich. Mimo to ruch niepodległościowy nie zamarł. Zeszedł do podziemi. Oparł się głównie na barkach młodzieży.

Na plantacjach kauczuku i tytoniu, w rafineriach ropy naftowej, w portach handlowych panuje nędza i głód. Setki ludzi umiera z wycieńczenia, tysiące z chorób. Śpiączka, malaria... Ale Indonezja jest nieugięta. Indonezja walczy nadal. I Otanga, który ledwie powłóczy nogami, ściska mi rękę znacząco:

— Panie, nie przestrasz się dziś w nocy. Będzie dużo huku. Straszny huk...

KOBU, [illegible]

Siedzę w kasynie Delegatury naftowej z Krügerem i starym Beelenem. Pijemy coca-cola, *) które oczywiście przywędrowało aż tu, w ślad za amerykańskimi tommy - gunami. **)

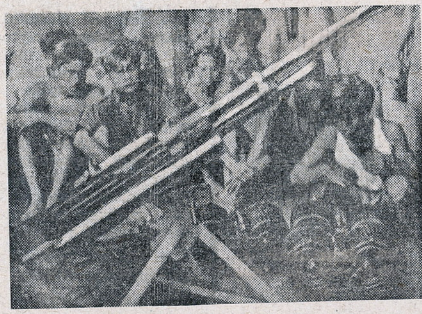

Oto niektórzy z indonezyjskich powstańców. Młodzi chłopcy, przeciw którym używa się samolotów i czołgów. Ale chłopcy ci nie rezygnują z twardej walki. Będą ofiarnie, do upadłego bić się o lepszą przyszłość swego ludu. Jesteśmy z nimi!

Stary Beelen jest przedstawicielem któregoś z amsterdamsko - nowojorskich koncernów naftowych. Zdaje się, że Koninklijk Nederlandsche Maatschapij tot Eksploitatie Petroleumbronnen. Może poza tym pracuje również dla „Standard Oil". Nie dałbym głowy, czy nie bierze forsy także i z „Royal Dutch Shell". Międzynarodowy kondotier wielkiego kapitału. Ohydny starzec, o złośliwych oczkach.

Krüger to dobrze ułożony, wyniosły Niemiec, były dowódca batalionu w rommlowskim „Afrika Korps". Nie ma w tym nic dziwnego. Widziałem przecież w listopadzie na Jawie całą dywizję złożoną z niedobitków faszystowskich, która nosi zaszczytne miano „Trupiej główki". Służą w niej głównie byli żołnierze włoscy, którzy okupowali Abisynię i Niemcy z armii libijskiej. Tylko że Krüger to grubsza ryba. Naftowcy holenderscy musieli go po prostu odcinać od stryczka. Bo Krüger to zbrodniarz wojenny, jeden z „pacyfikatorów" Krety. Cóż, okazało się, że na takich fachowców popytu nigdy nie brak...

Nastrój pod psem. Beelen syczy przekleństwa pod nosem. W nocy Malajczycy wysadzili w powietrze wiadukt kolejowy, złożony z trzech przęseł. Strata dla Delegatury wyniesie chyba z pół miliona dolarów. Na trzy tygodnie przerwany będzie wywóz nafty. Budowa nowego wiaduktu też będzie kosztować i to sporo... Beelen złorzeczy całemu światu.

— Mój Boże, czego się tym czarnym zachciewa!... Ich dziadkowie mieli jeszcze kółka w nosie i wypalone inicjały właściciela na grzbiecie... A oni? Chcą mieć „minimum egzystencji"! Lekarza! I co jeszcze! Butelkę koniaku, nie? i wysadzają nam mosty, szyby, turbiny!... Mój Boże, co za bydło!

Potem do Krügera:

— Telegrafował pan do Palembangu?

Nadstawiam ucha niespokojnie. Krüger ma miły, miękki głos:

— Oczywiście, panie dyrektorze. Zaczniemy po obiedzie. Przyślą nam naturalnie brygadę pacyfikacyjną.

Następnie Krüger przenosi wzrok na mnie. Spogląda chłodno, spokojnie. Nie mam żadnych wątpliwości, Krüger już wszystko wie. Mówi grzecznie:

— Ach prawda, proszę wybaczyć, iż mówimy w pańskiej obecności o sprawach, nieznanych panu... panu redaktorowi, czy właściwie panu doktorowi, bo nie wiem...

Wytrzymuję jego wzrok. Major Krüger kończy:

— Więc proszę, wszystko proste jak piosenka. O godzinie 16.00 otoczymy wieś i rozstrzelamy co dziesiątego z tych nieposłusznych szkodników. Gwarancja, że się uspokoi. Czyż nie tak?

Robi mi się zimno. Za wszelką cenę ostrzec Otangę! Ale Beelen nachyla się nad stolikiem. Mruczy zjadliwie:

— A pan, panie redaktorze, prześpi się zapewne tymczasem w salonie na piętrze. Bardzo dziś gorąco. Pan mnie rozumie?

Przed drzwiami czterech dryblasów z pistoletami maszynowymi. Jeden wskazuje mi głową schody na piętro.

SUCHOU, koniec grudnia

Udało mi się wymknąć z przeklętego piekła Kobu. Jestem w Chinach. Chinach ludowych, Chinach wolnych. Już mogę pisać. Mało: muszę pisać.

W południe nadeszła kolumna czołgów i ciężarówek, pełnych żołnierzy w stalowych hełmach. Całe Kobu nagle napełniło się wojskiem. Z okna salonu, gryząc palce z wściekłości, patrzyłem, jak otaczali wieś. Ale widocznie we wsi czegoś się spodziewano. Padły strzały. Dwie godziny trwała nierówna walka. Zakończył ją nalot Lancasterów. Przeszły, wyjąc, nad rafinerią, nadleciały na wieś i zrzuciły olbrzymią ilość bomb.

Holendrzy wkraczali do płonącej wsi w ślad za pancernymi wozami. Opór był złamany. Opór... Okazało się potem, że cały sprzęt, jakim dysponowali Indonezyjczycy, składał się z jednego działka szybkostrzelnego, przechowywanego jeszcze od japońskich czasów, i kilkunastu karabinów ręcznych...

Nagle wpadł do salonu Krüger. Zabrał mnie prawie przemocą do swojego jeepa. Wóz rwał przez leśną dróżkę jak szatan. W międzyczasie Krüger tym samym beznamiętnym uprzejmym głosem, cedził:

— Ja wiem, że pan redaktor miał tam... znajomych. Pan chętnie ich zobaczy, prawda? O tak, dzielni chłopcy... Dzielni chłopcy...

Jesteśmy na małym, leśnym karczowisku, do połowy zdobytym napowrót przez roślinność. Obok dyszą mokre, czerwone liście sumatrzańskiego dziwu o dźwięcznej nazwie „bougainvillea". Dalej — parny las wysokości sześćdziesięciu metrów...

Długi szereg holenderskich jeńców kopie podłużne doły. Poznaję wśród nich Otangę. Biegnę w jego stronę. Olbrzym w amerykańskim hełmie i z amerykańską gumą do żucia w paszczy, zastawia mi drogę lufą automatu. Ale Krüger daje znak ręką i żołdak opuszcza pistolet.

Otanga ma zamiast oka wygniecioną dziurę w twarzy. Ociera krew wierzchem dłoni. Próbuje się uśmiechnąć. Zaczyna coś mówić. Język odmawia mu posłuszeństwa. Udaje mu się z trudem wyszeplenić tylko tyle:

— Nie trzeba się martwić, panie. Słońce już wschodzi.

Beelen odciąga mnie na bok. W czasie, kiedy Malajczycy ustawiają się tyłem do wykopanych grobów, starzec wyciąga z kieszeni brązową flaszeczkę z etykietą, przedstawiającą moskita. Mówi do Krügera:

— Trzeba będzie ściągnąć z Palembangu nowych robotników. Damy im o jedną trzecią racji mniej niż tym. Będzie taniej.

JAMES GRANT

Wieś płonie. Przypuszczalnie nie ma w niej nikogo żywego. Lancastery zrobiły swoje. Teraz już można spokojnie wkroczyć do zdobytego osiedla. Złapanych jeszcze Malajczyków, zdrowych czy rannych rozstrzela się za [illegible]...

---

* napój popularny w Ameryce.

**) pistolet maszynowy

„Sobieszczaki" mają radio

Jeszcze nie tak dawno wszystkie szkoły krzyczały wielkim głosem: „RADIOFONIZUJEMY". Wśród ogólnego krzyku rozlegał się głos naszej „budy", ochrzczonej przez złośliwych elewów ze szkół konkurujących z nami o prymat w

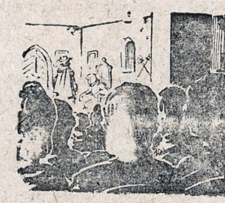

Krakowie, — „Sobieszczakiem".

W tym czasie „Sobieszczak" chyba po raz pierwszy od założenia posiadł instytucję zwaną samorządem, która ku zadowolonemu zdumieniu dyrektora, profesorów i wszelkich czynników miarodajnych, zaczęła się rządzić, jak szara gęś. Pierwszym zamierzeniem samorządu była radiofonizacja szkoły, na którą trzeba było zdobyć pieniądze. Sekcja imprezowa urządziła właśnie zabawę dla rodziców w auli gimnazjum, z której dochód przeznaczono na zakup radia. Ma się rozumieć, rodzice nie żałowali pieniędzy — płacili, czasem nawet nie przychodząc na zabawę. Samorząd był w siódmym niebie, składając dochód do banku.

Na czwartym z kolei zebraniu samorządu prezes stanął na podium, załamał ręce i wykrztusił:

— Co dalej robić z tą radiofonizacją?

— Trzeba zradiofonizować wszystkie klasy, to znaczy we wszystkich klasach założyć głośniki — próbował podsunąć myśl delegat z I licealnej.

— A forsa? — krzyknął ktoś z kąta.

— Może kupimy przede wszystkim silny aparat lampowy, do którego później dołączymy głośniki! — zaproponował mój „współdelegat" Andrzej.

— Uważam, że projekt delegata klasy IVA jest rozsądny. Poza tym sądzę, że moglibyśmy na razie postawić zakupiony aparat na korytarzu i podczas przerwy nadawać, przez adapter muzykę z płyt. Adapter ja ofiaruję bezpłatnie szkole.

Naturalnie słowa przewodniczącego przyjęto z niebywałym aplauzem, wśród dostojnych ryków, pośród których przewodniczącego podrzucano na rękach pod sufit.

Kupiono aparat. Cudna, sześciolampowa superheterodyna stanęła w korytarzu, napełniając szkołę muzyką. „Samorządowcy" chodzili jak nadęci i udawali, że szkoła już jest zradiofonizowana.

Ale przyszedł czas na

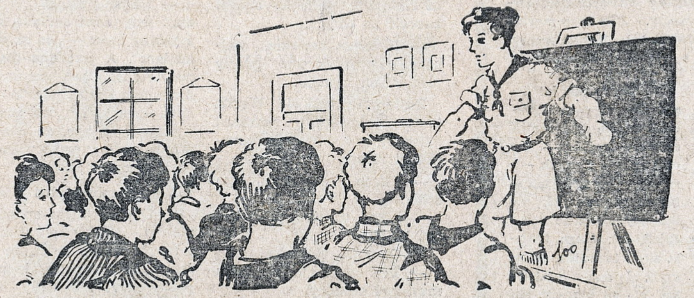

małą tragedię. Najwyższa instancja uczniowska (czytaj: samorząd) zaufała swoim kolegom i oddała aparat ich opiece. Niedługo trzeba było czekać na owoce tej koleżeńskiej opieki. Wiara, jakby nigdy radia nie widziała natarła na aparat powodując strącenie go ze stolika. Katastrofa. Radioodbiornik zdemolowano.

Samorząd zebrał się na pierwszym nadzwyczajnym zebraniu i zrozpaczony polecił sekcji imprezowej wystawić komedię Fredry, z której dochód przeznaczony będzie na... naprawę aparatu radiowego. Sekcja wywiązała się z zadania znakomicie, wystawiając jedną z komedii Al. Fredry, która cieszyła się dużym powodzeniem i dała kilkanaście tysięcy złotych dochodu po sześciu przedstawieniach.

Drużyna harcerska przy naszej szkole, zachęcona przykładem, urządziła fenomenalny „kominek", który przyniósł 5 tys. zł. Naprawiono radioodbiornik i postawiono go tym razem w kancelarii.

Taki był początek. Pierwszy oddech. Później poszło szybciej. Organizowaliśmy koncerty, wystawy, imprezy — jedne za drugimi. Pieniądze płynęły wciąż do kasy samorządu...

„WYSTAWA ROBÓT RĘCZNYCH UCZNIÓW III GIMNAZJUM" — pisały dzienniki krakowskie — później WYSTAWA RYSUNKÓW, KONCERT ORKIESTRY SZKOLNEJ, SZOPKA SATYRYCZNA i t.d. i t.d.

Parę słów warto jeszcze poświęcić szopce. Chwyciliśmy się jej, jak ostatniej deski ratunku, bo nie mieliśmy żadnych projektów i

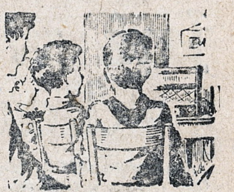

sądziliśmy, że z radiofonizacją będzie klapa. Żeby szopka „poszła", trzeba było pisać kuplety, dość... delikatne na profesorów, a trochę i na siebie samych. Wbrew oczekiwaniom szopka wypadła wspaniale. Ku uciesze uczniów zrobiliśmy, jak się to mówi, na szaro profesorów, a ku uciesze ciała pedagogicznego wydrwiliśmy uczniów obarczonych co cięższym balastem dwój. Dyrektor obecny na przedstawieniu śmiał się do łez. Siedemnaście przedstawień dało znaczną kwotę, ale wszystko to razem jeszcze nie wystarczało, bo sal szkolnych w naszym gmachu było coś ze trzydzieści.

Ale z pomocą przyszła nam dyrekcja i Koło Rodzicielskie. Po pewnym czasie „Polskie Radio" przysłało monterów. To już była realizacja.

A prezes samorządu chodził zły na siebie i smutny.

— Nie zrobiliśmy tego sami, tylko przy cudzej pomocy! — biadolił.

— Ale w tym jest także wielki wkład pracy naszej i uczniów!

Jakto?

— A kto organizował wystawy i inne imprezy?

— Samorząd...

— Ale kto grał, kto dawał eksponaty, kto był widzem?

— Uczniowie.

— Więc to nasza praca ta radiofonizacja. To my zaczeliśmy i kończymy, tylko dzięki naszej pracy inni przyszli nam z pomocą.

Prezes rozchmurzył się. Przekonałem go. Biegał po korytarzu i w kółko powtarzał: Zradiofonizowaliśmy szkołę. Zradiofonizowaliśmy szkołę.

Janusz Roszko

KRÓTKO I WĘZŁOWATO

HANIEBNY „KONKURS"

RZĄD francuski wysłał ostatnio do walki z narodem vietnamskim batalion złożony z samych przestępców. Kary nałożone przez sądy na członków tego batalionu wynoszą w sumie 12.000 lat więzienia i 400 lat ciężkich robót. Kary te będą im darowane jeśli dobrze spełnią misję wyznaczoną im przez rząd mieniący się rządem „naprawdę demokratycznym" — misję zaprowadzenia porządku i praworządności w Viet-Namie. Członkowie tego batalionu szybko zrozumieli co mają robić aby uzyskać miano uczciwych obywateli. Im więcej popełnią grabieży, gwałtów i morderstw w Viet-Namie tym prędzej zmyją z siebie hańbę przestępstw popełnionych we Francji.

Żołnierze francuskiej Legii Cudzoziemskiej w Viet-Namie — SS-owcy i typy z pod ciemnej gwiazdy wszelkich narodowości — aby sprawniej wykonać swe zadanie organizują konkursy.

Zwycięzcami są ci, którzy do obozu swego oddziału przyniosą więcej par odciętych uszu. Uszy dzieci, kobiet i mężczyzn liczą się jednakowo. (z prasy francuskiej).

Oto jak wygląda zaprowadzanie porządku i praworządności.

PRECZ „Z BRUDNĄ WOJNĄ" PRZECIW VIET-NAMOWI

Na prowadzenie wojny przeciw republice Viet-Namskiej rząd Francuski wydał już 200 miliardów frk. Wtedy, gdy robotnicy domagają się podwyżki płac, rząd wysyła przeciw nim tanki i twierdzi, że nie ma pieniędzy, znajduje je natomiast gdy chodzi o ujarzmienie dzielnego narodu, który w ciągu 3 lat potrafił prawie całkowicie zlikwidować analfabetyzm, oraz rozwinąć szkolnictwo średnie i wyższe.

Wojna przeciw Viet-Namowi jest prowadzona kosztem ludzi pracy, rujnuje Francję i coraz bardziej uzależnia ją od imperialistów amerykańskich, którzy właśnie na prowadzenie wojny kolonialnej, a nie na odbudowę przemysłu i podniesienie gospodarki narodowej udzielają Francji pożyczek i dostarczają broni korpusowi ekspedycyjnemu. Większość narodu francuskiego jest przeciwna tej wojnie, nazywa ją „brudną wojną" — La salle guerre — i domaga się natychmiastowego jej przerwania i zawarcia pokoju.

To też dzień 21 lutego, dzień solidarności postępowej młodzieży całego świata z młodzieżą krajów walczących o swe wyzwolenie z ucisku kolonialnego, młodzież francuska będzie obchodzić pod hasłem: „precz z brudną wojną przeciw Viet-Namowi"!

Studenci zorganizują manifestacyjne zebrania na uczelniach, młodzi robotnicy w porozumieniu ze związkami zawodowymi przerwą na kilka minut swą pracę w fabrykach, grupy dziewcząt udadzą się do obozów robotników Viet-Namskich we Francji i złożą podarki jako dowody sympatii. W całym kraju odbędą się wielkie wiece, które wyślą do rządu rezolucję z żądaniem natychmiastowego zawarcia pokoju z Republiką Viet-Namską.

Nie czyń drugiemu co tobie nie miło

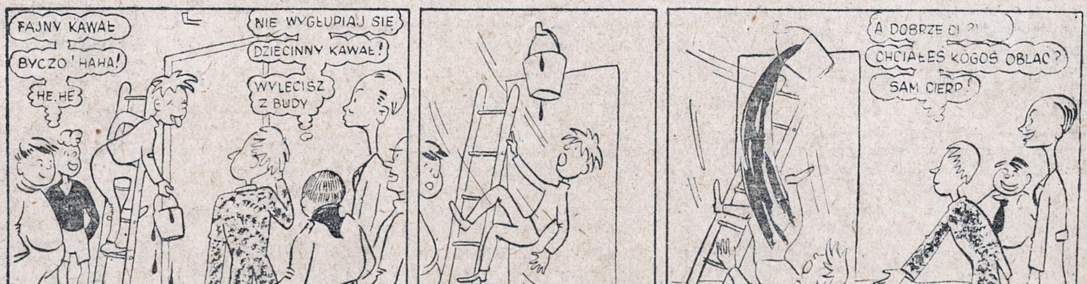

Zrobię kawał Adzikowi,
Rzekł do chłopców raz Pawełek,
I zawiesił tuż nad drzwiami
Zimnej wody ten kubełek.

Wtem drabina się obsuwa
Paweł krzyczy jak niepyszny
Strumień wody z kubła leci
Figlarzowi robiąc prysznic.

Śmieją się koledzy z Pawła,
Przybiegają z wielkim wrzaskiem
Że spełniło się przysłowie
Napisane nad obrazkiem.

W MARSZU

Już wiem dlaczego...

Na kominku palił się ogień, sypiąc dokoła iskrami. Drużyna siedziała w milczeniu, patrząc na kolegę Franka — przewodniczącego koła ZMP w Dąbrówce Dolnej.

Drużynowy zabrał głos.

— To, że patronem drużyny wybraliśmy Edwarda Dembowskiego, zobowiązuje nas do wielu rzeczy. Jego życie powinno być dla nas przykładem i drogowskazem. Zaprosiłem na nasz kominek kolegę Franka, aby opowiedział nam o życiu tego wielkiego Polaka.

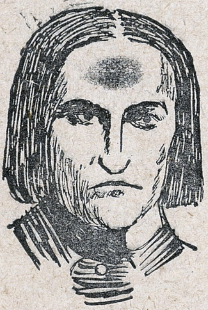

— Gdy kilka lat temu nasi ojcowie otrzymali ziemię na skutek reformy rolnej — zaczął mówić Franek, — a robotnicy w miastach obejmowali fabryki, nie wszyscy zapewne wiedzieli, jak długo toczyła się o to walka. A toczyła się ona nie od kilku, ale od przeszło stu lat.

Gdy po upadku powstania listopadowego w 1830 r. najlepsi polscy patrioci utworzyli Towarzystwo Demokratyczne Polskie, zdawali sobie sprawę z tego, że wolności nigdy się nie wywalczy bez udziału ludu polskiego.

Bo przecież jedną z przyczyn upadku powstania było to, że nie wzięli w nim udziału chłopi. Tylko przeprowadzenie uwłaszczenia mogło porwać ich do walki.

Już w czasie powstania listopadowego patrioci z Mochnackim na czele, domagali się uwłaszczenia chłopów. Ówczesny rząd, złożony z przedstawicieli szlachty nie mógł zdobyć się na danie chłopom ziemi i wolności. Zaważyło to na wyniku powstania. Powstanie upadło. Walka jednak trwała dalej. Prowadzili ją najlepsi synowie narodu. Wśród nich najwybitniejszym i najbardziej oddanym bojownikiem słusznej sprawy był Edward Dembowski.

Edward Dembowski urodził się w roku 1820, a zginął w powstaniu 1846 roku w potyczce z oddziałem austriackim, w Podgórzu koło Krakowa. Jego krótkie życie było wypełnione walką o wolność ludu polskiego. Organizował postępową młodzież, wygłaszał odczyty, pisał odezwy i artykuły. W roku 1842 założył w Warszawie pismo „Przegląd Naukowy". Na jego łamach szerzył myśl postępową i zwalczał wrogów ludu. Wkrótce jednak rząd carski zlikwidował pismo, a Dembowski uchodząc przed policją, wyjechał do zaboru pruskiego, do Poznania. Tam dalej prowadził działalność rewolucyjną. Po pewnym czasie został uwięziony przez rząd pruski. Ucieka z więzienia i udaje się do Galicji, gdzie staje się najczynniejszym działaczem rewolucyjnym. Ciągle trapiony przez policję, więziony, nie poddaje się, a przeciwnie, jeszcze bardziej wytęża swe siły do walki o sprawę ludową.

19 lutego 1846 r. wybucha powstanie krakowskie, skierowane przeciw Austrii. Dembowski jest jednym z najczynniejszych i najbardziej wpływowych przywódców tego powstania. Organizuje oddziały powstańcze, akcje zbrojne. Pełni funkcję sekretarza dyktatora powstania — Tyssowskiego. Faktycznie jest głównym przywódcą powstania.

W swoich pismach, odezwach i artykułach Dembowski zawsze wskazywał, że jedynie zniesienie wszelkich różnic stanowych może przynieść narodowi wolność i niepodległość.

„Przyjdzie chwila, gdy lud cierpieć nie będzie i nie będzie panów ani chłopów, tylko ludzie" — pisał Dembowski.

Dembowski nie tylko był bojownikiem i żołnierzem. Był również jednym z najbardziej światłych i wykształconych ludzi w Polsce. Jego rozległa wiedza wzbudzała podziw wśród otoczenia.

Wy, jako drużyna harcerska możecie być dumni, że patronem waszym jest człowiek, którego imię jest na zawsze związane z walką o wolność ludu polskiego — zakończył kolega Franek.

Przez chwilę panowała cisza. Na kominku dogasał ogień.

— Teraz już wiem dlaczego naszymi harcerskimi patronami powinni być ludzie tacy jak Dembowski — odezwał się Włodek. — Ich życie to ciągła walka o wolność, i sprawiedliwość, a przecież my harcerze też chcemy budować ustrój, który wszystkim ludziom pracy zapewni szczęście

LESZEK BŁASZCZYK

Zgadnijcie co mam! — od progu już krzyknął Wacek chowając coś za plecami.

Zastęp zaciekawiony spojrzał w jego stronę. Rezolutny Romek zrobił uwagę.

— Nie krzycz tak, tylko dawaj co tam masz.

Wacek wyciągnął rękę przed siebie, trzymając w niej egzemplarz „Świata Młodych". Chłopcy rzucili się do niego, aż zastępowy Stefek musiał zwrócić im uwagę.

— Wolnego panowie, wolnego. Porozdzieracie gazetę przecież na kawałki.

Zastęp uspokoił się. Wacek tymczasem usiadł na krześle i otoczony przez kolegów przewracał strona po stronie.

— Pismo owszem, niczego sobie.

— Patrz, tu piszą jak obłożyć książkę.

— O, nowa piosenka!

— Ten artykuł o kauczuku musi być ciekawy.

Po przejrzeniu numeru, zastęp doszedł do wniosku, że pismo należy wykorzystać do pracy zastępu. Jurek zaproponował, aby każdy w domu przeczytał „Świat" i na następnej zbiórce powiedział co według niego zastęp powinien zrobić, opierając się na artykułach zamieszczonych w piśmie.

* * *

Najpierw zabrał głos Janek:

— Po dokładnym przejrzeniu „Świata Młodych" myślę, że przede wszystkim powinniśmy zająć się oprawą książek w bibliotece drużyny i szkoły.

— No, a ty Wacek co tam mądrego wymyśliłeś?

— Na tej stronicy „W marszu" jest jedna ciekawa i pożyteczna rzecz — „co radzi kalendarz". A jest ona dlatego pożyteczna, że przypomina drużynom i zastępom o różnych sprawach które powinni wykonać. Myślę, że możemy ten kalendarz wykorzystać w pracy naszego zastępu.

Z kolei zabrał głos Władek.

— Gdy czytałem opowiadanie pt. „Głosy w dżungli" przyszło mi na myśl, że możemy zorganizować kominek poświęcony młodzieży kolonialnej. Zresztą już niedługo będzie obchodzony dzień młodzieży kolonialnej zorganizowany przez ŚFMD.

Projekty padały jeden za drugim. Zenek zaproponował urządzenie gry na nartach, która jest podana na ostatniej stronie „Świata", Gieniek znów mówił, że warto wziąć udział w konkursie modelarskim organizowanym przez Ligę Morską.

Zastępowy Stefek pilnie notował projekty. W końcu ustalono, że: zastęp oprawi książki w bibliotece szkolnej; zorganizuje kominek poświęcony młodzieży kolonialnej i w niedzielę urządzi wspólnie z „Rysiami" grę na nartach (narty prawie wszyscy mają).

Już zastęp zbierał się do wyjścia, gdy Zenek stuknął się w głowę i powiedział.

— A może tak zaprenumerujemy „Świat Młodych"?

— To nawet dobra myśl!

— Mogę się tym zająć, przynieście jutro forsę na prenumeratę — dodał Romek. (b)

HSI donosi

ZUCHY OBRADUJĄ

W dniach 5 i 6 lutego odbyła się w Domu Harcerstwa w Warszawie, ogólnopolska odprawa instruktorów zuchowych.

TU MÓWIĄ BRUDZEWICE

Mimo, że z Brudzewic do najbliższego miasta Opoczna jest 23 kilometry, miejscowa drużyna, licząca 35 członków, dzielnie pracuje. Z jej inicjatywy została zorganizowana przy miejscowej szkole drużyna zuchów. Starsi wstąpili do ZMP.

Zastępy przystąpiły do współzawodnictwa pracy. W wyniku tej akcji poszczególne klasy otrzymały napisy i ozdoby. Zreperowano popsute ławki i wieszaki.

Poza tym harcerze z Brudzewic nie zapominają o samokształceniu. W okresie ferii zimowych brali udział w kursie organizowanym przez Komendę Hufca. Podczas kursu zorganizowali teatrzyk kukiełkowy. Należy brać przykład z pracy brudzewickich harcerzy.

WSPÓLNE PLANY

Przed paru dniami obradowały w Krakowie połączone rady Krakowskich Chorągwi harcerek i harcerzy. Na obradach byli obecni przedstawiciele ZMP. W trakcie obrad ustalono plan pracy na rok 1949. Między innymi postanowiono prowadzić wspólnie z brygadami ZMP tegoroczną akcję letnią, jako teren służby obrano najbardziej zniszczone ziemie na Podkarpaciu.

RADIOFONIZACJA W GOSTYNINIE

127 drużyna harcerzy w Gostyninie przygotowuje się do radiofonizacji wsi w okresie letnim. W najbliższych dniach harcerze przejdą kurs, po którym nastąpią ćwiczenia praktyczne (zapoznanie się z pracami radiowęzła itp.).

DOMAGAJĄ SIĘ ZWROTU PAMIĄTEK

W ubiegłym tygodniu odbył się w Krakowie wielki wiec protestacyjny, zorganizowany przez ZMP, SP i ZHP. Młodzież wyraziła swoje oburzenie i protest przeciw bezprawnemu zatrzymywaniu przez rząd kanadyjski, polskich skarbów kultury i pamiątek historycznych. Na zakończenie wiecu uchwalono rezolucję, domagającą się zwrotu zagrabionego dobra narodowego. Rezolucja zostanie przesłana do konsulatu kanadyjskiego i do sekcji kulturalnej ONZ.

HARCERZE CHORYM ŻOŁNIERZOM

29 łódzka drużyna harcerzy bierze udział w akcji kulturalno - oświatowej na terenie jednego z wojskowych szpitali w Łodzi. W ramach tej akcji zorganizowano wieczór artystyczny dla 300 chorych żołnierzy.

WIELKA PRZYGODA NARCIARZA GAŁĄZKI

Rozdział I.

BYŁ MROŻNY PORANEK. SNIEG PROSZYŁ CAŁĄ NOC. MIMO TO WITEK GAŁĄZKA ZDECYDOWAŁ SIĘ NA WYCIECZKĘ W GÓRY. PRZED WYRUSZENIEM Z DOMU SPRAWDZIŁ NARTY, SPAKOWAŁ PLECAK I RUSZYŁ W SNIEZNĄ ZAWIEJĘ. NAGLE...

(dalszy ciąg na stronie 5-tej)

ZOFIA WILSKA

Zdobywają stopnie

ZASTĘPOWYM NA UCHO

Zdobywanie pierwszego stopnia to okres, w którym ty i twój zastęp podejmujecie wielką kampanię w waszym miasteczku. Ty właśnie, a nie kto inny, musisz tę kampanię przygotować, zapalić do niej zastęp i zorganizować całą pracę.

— Jaka to kampania? — spytacie pewnie zdziwieni.

— Powiem wam: taka jakiej jeszcze nie było. Zastęp ma po-

kazać w klasie, w domu, w parku, czy na podwórku szkolnym jak to naprawdę jest się harcerką i harcerzem.

To wcale nie jest trudne, trzeba tylko dobrze zrozumieć wymagania stawiane przez tekst stopnia.

— Posłuchajcie.

Zastęp harcerski w klasie to przede wszystkim zastęp pełniący dyżury i to pełniący je tak, aby każdy wiedział, że nie można zostawić podartej mapy, że wstyd przynieść do klasy pękniętą ekierkę, że zeschłe roślinki i brudne stoliki, źle świadczą o uczniach.

A dlaczego? Dlatego, że klasa jest nasza wspólna. My w niej jesteśmy gospodarzami. Nie tylko klasa, cała szkoła jest nasza: i książki z biblioteki, które zwracamy podklejone, i teren przy szkole, i ogród, i ulica, na której podejmiemy walkę z zimą.

Walkę z zimą podejmiemy też w domu. Pomagamy w opatrywaniu okien i drzwi, palimy w piecu, robimy wycieraczki do obuwia.

Staramy się jednocześnie odpowiedzieć na pytania, po co i dlaczego to robimy np., dlaczego w zimie zakłada się podwójne okna, dlaczego pęka na mrozie butelka z wodą itp.

Zima groźna dla człowieka, o wiele groźniejsza jest dla zwierząt i roślin. Musimy pomóc im przetrwać.

A więc zastęp twój weźmie pod opiekę wszystkie wróble, sikory i inne ptaki, zimujące w mieście czy na wsi. Zbieramy dla nich pożywienie, robimy karmiki (to pierwsza praca pioner-

ska, z jaką zastęp ma do czynienia. Uczymy się przy niej posługiwać narzędziami, utrzymywać je w porządku, uczymy się ciąć deski, wbijać i wyciągać gwoździe).

Przy karmiku podpatrujemy i poznajemy ptaki i ich obyczaje. Przekonujemy się, że potrzebują one naszej porządnej i systematycznej opieki.

Tak jak przy dyżurach w klasie, tak i tu pracę podejmuje zastęp, a nie jeden chłopak czy dziewczyna. Uczymy się przecież wspólnej odpowiedzialności i organizacji pracy.

Ty druhno zastępowa, ty druhu zastępowy, odpowiadasz za rozłożenie pracy, porozumiewanie się z ludźmi z zewnątrz, na których pomocy nam zależy (nauczyciel, stolarz, ogrodnik i inni). Ty wyznaczasz kiedy kto co robi, ty musisz pokazać Heńkowi czy Tadkowi, że już zasługuje na miano harcerza, a Zosi i Marysi, że jeszcze trochę musi popracować, aby to zaszczytne miano zdobyć.

Ale pamiętaj, że nie jesteś tylko rozkazodawcą, bezczynnym obserwatorem, wiecznie robiącym uwagi i strofującym.

TY WSPÓLNIE PRACUJESZ Z ZASTĘPEM

Jest w pierwszym stopniu ważny punkt, który mówi o tym, co powinien twój zastęp wiedzieć o swoim środowisku i o całym kraju. Napewno wie w jakim województwie mieszka i to, że Polska dzieli się na województwa. Zna podział administracyjny kraju. Od twojej pomysłowości, druhno i druhu za-

stępowy, zależy w jaki sposób zdobędzie zastęp wiadomości o swym środowisku wymagane w stopniu pierwszym.

Wiadomości o życiu i pracy Prezydenta, o rocznicach historycznych, świętach państwowych, wyjaśnienie dlaczego czcimy czerwony sztandar, a godłem naszym jest Piastowski Orzeł, nauczenie zastępu hymnu państwowego i pieśni „Na barykady" — wszystko to posłuży ci jako wyjście do rozmowy z zastępem. W rozmowie tej, nie tylko sprawdzisz wiadomości, ale wytłumaczysz sprawy, które

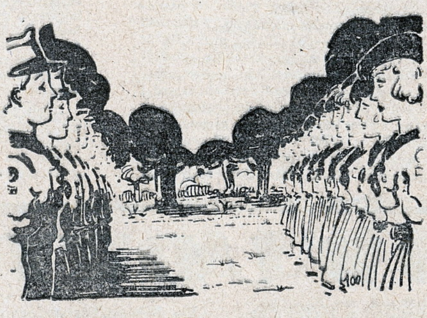

może lepiej rozumiesz niż twoje dziewczynki, czy chłopcy. Tu wyłoni się sprawa patrona, sprawa ludzi, których pragniemy naśladować.

Zresztą szukaj pomocy u drużynowego, u starszych kolegów z ZMP, u nauczycieli.

Zdobywanie pierwszego stopnia „ochotnika" czy „ochotniczki" to wielka przyjemność dla dziewczyny i chłopaka.

Po zdobyciu pierwszego stopnia, chyba nikt nie będzie miał już wątpliwości, że harcerstwo to organizacja, gdzie się można i świetnie bawić i pożytecznie pracować.

OCHOTNIK-OCHOTNICZKA

Zdobycie tego stopnia świadczy o tym, że możesz być harcerzem(ką). Pierwszy stopień składa się z 5-ciu sprawności, które są oznakami służby pełnionej przez ochotnika(czkę) w tym okresie. Część tej pracy pełnimy całym zastępem, ale pewnym zadaniom musisz sam dać radę.

Jeśli próba wykaże, żeś wywiązał się z nich jak należy — dopuszczony(na) zostaniesz do przyrzeczenia.

OCHOTNIK(CZKA)

1. Wie, kto jest naszym Prezydentem, opowie o jego życiu i pracy. Wyjaśni dlaczego godłem Państwa stał się Orzeł Piastowski.
   Wymieni najważniejsze święta państwowe, powie dlaczego się je święci.
   Wyjaśni dlaczego w dniu 1 maja czczą czerwony sztandar wszystkie narody.
   Śpiewa hymn: „Jeszcze Polska nie zginęła" i na „Barykady ludu roboczy".
   Zebrał(a) do gazetki lub kroniki zastępu obrazki, ilustracje z gazet i pism z najważniejszych wydarzeń w kraju, ułożył(a) je według zagadnień, zaopatrzył(a) podpisem wyjaśniającym treść obrazków.
   Wie w jakim województwie, powiecie i gminie mieszka, poda adres starostwa, wójta, lub sołtysa.
   Wie, gdzie mieszka doktór, gdzie jest najbliższa apteka, urząd pocztowy, posterunek milicji, najbliższy telefon.
   Zapoznał(a) się z najważniejszymi zamierzeniami władz państwowych na najbliższy okres czasu w dziedzinie gospodarczej, społecznej i kulturalnej.
   Wybrał(a) sam wiersz mówiący o pracy człowieka i nauczył(a) się go recytować.
2. Zna oznaki harcerskie.
   Zna władze organizacyjne (drużynowy, hufcowy, Komendant Chorągwi) i ich oznaki.
   Poda adresy drużynowego i Komendy Hufca, nazwisko drużynowego i hufcowego.
3. Zachowuje się jak harcerz w szkole i poza szkołą — zwłaszcza w stosunku do słabszych od siebie.
4. Jest zawsze czysty, sam utrzymuje w porządku swoje ubranie i obuwie.
5. Zdobył sprawności:
   1. Gospodarza klasy
   2. „Walki z zimą"
   3. Przyjaciela książki
   4. Sportowca 1
   5. Jedną ze sprawności dowolnych.

GOSPODARZ KLASY

1. Zna przepisy higieny w szkole i przestrzega je w stosunku do siebie i innych.
   Pomaga dyżurnemu w jego pracy.
2. Dba o dostarczenie na lekcje pomocy szkolnych (mapa, globus, cyrkiel, trójkąt, linia, kątomierz, bryły geometryczne, ilustracje, okazy przyrodnicze itp.).
3. Nie zostawia pomocy szkolnych uszkodzonych. Drobne naprawy wykonał sam (podkleił mapę, ilustrację, skleił ekierkę itp.). Większe naprawy wykonał z zastępem, lub znalazł odpowiedniego fachowca.
4. Pilnował razem z zastępem, żeby nikt w klasie nie niszczył ścian i ławek i nie pozostawał w niej w czasie przerw.
5. Przyczynił się wraz z zastępem do ładnego wyglądu klasy (zawiesił obrazki, sporządził gazetkę, wyhodował kwiatek).

SPRAWNOŚĆ „WALKI Z ZIMĄ"

1. Pomagał w zabepieczeniu domu przed zimą (opatrzenie okien i drzwi, gromadzenie drzewa, robienie zapasów, urządzanie piwnicy), napalił dobrze w piecu używając do rozpalenia najwyżej 3 zapałki.
2. Prowadził obserwację ptaków, opiekując się nimi w zimie.
   a) wie, co lubią różne ptaki, zebrał dla nich zapasy (na jesieni),
   b) zbudował razem z zastępem karmik i ustawił go w dobrym miejscu,
   c) prowadził dziennik obserwacji karmionych ptaków.
3. Pomagał przy przygotowaniu ogrodu do snu zimowego, (np. zwalczał szkodniki, zabezpieczał drzewka lub krzewy przed mrozem, grabił liście itp.), albo brał udział w pracach jesiennych na boiskach, zieleńcach skwerach itp.
4. Prowadził wraz z zastępem walkę ze ślizgawicą i śniegiem w okolicy szkoły i domu, pomagając w ten sposób w pracy milicji.
5. Zrobił prosty przedmiot użyteczny w zimie (skrzynkę do węgla, łopatę do śniegu, wycieraczkę, saneczki).
6. Opowie jak przygotowuje się do zimy i zimuje drzewo, jakiś owad, ptak lub drobne zwierzątko. Był na zimowej wycieczce.

PRZYJACIEL KSIĄŻKI

1. Należy do czytelni szkolnej lub innej (np. w świetlicy), wymieni dwie ulubione książki, opowie co mu się w nich podobało.
2. Umie obchodzić się z książką przy czytaniu, dba o swoje książki tak, aby mogły służyć innym dzieciom.
3. Obłoży książkę, podklei zniszczone kartki.
4. Zrobi zakładkę i nóż do rozcinania kartek.
5. Czytuje z zastępem pisemko (Świat Młodych, lub Płomyk).
6. Wybrał wiersz lub urywek na uroczystość państwową i nauczył się go.

SPORTOWIEC I

1. Ma ważną państwową Odznakę Sprawności Fizycznej stopnia I-go.
2. Gra zgodnie z prawidłami w trzy dowolne gry ruchowe.
3. Umie przybrać dobrą postawę na „Baczność", salutować, zameldować się.
4. Uzyskał dobry wynik w biegu harcerskim zastępu.

WIELKA PRZYGODA NARCIARZA GAŁĄZKI

(Streszczenie poprzedniego odcinka: W mroźny i chłodny poranek nieustraszony narciarz i taternik Witek Gałązka postanowił pójść na wycieczkę w góry. Miał doskonałe narty, niemniej jednak sprawdzał je długo i dokładnie. Z kolei spakował plecak i ruszył).

NAGLE... PRZYPOMNIAŁ SOBIE, ŻE ZAPOMNIAŁ W DOMU DOSKONAŁEGO SMARU NARCIARSKIEGO, W KTÓRY ZAOPATRZYŁ SIĘ JESZCZE PRZED WYJAZDEM DO ZAKOPANEGO. TROCHĘ NIEZADOWOLONY Z TAKIEGO OBROTU SPRAWY...

(ciąg dalszy na stronie 6-tej)

Listem poleconym

Tak się złożyło, że w ubiegłym tygodniu nadeszły na adres naszego działu 2 wzmianki o polskich samolotach, w związku z czym zamiast Listem Poleconym winno być: Poczta Lotnicza. Mniejsza zresztą o to, bo i tak wszystkie listy nadchodzą najzwyklejszą pocztą, ważniejsze jest, o czym donosi nam kol. Jerzy Kwiatkowski:

„Dar Młodzieży" — to nazwa polskiego samolotu, ufundowanego przez młodzież polską, który już niedługo zostanie wybudowany. Stosunkowo niedawno, bo gdzieś w kwietniu ub. roku uczniowie szkoły powszechnej w Zielonej Górze zebrali około dwóch tysięcy złotych, które przesłali do Ligi Lotniczej, przeznaczając je na budowę samolotu. Jednocześnie uczniowie ci zwrócili się do całej młodzieży w Polsce z apelem o wpłacanie pieniędzy na ten cel. Cóż, wydawało się na początku, że od dwóch tysięcy złotych do dwóch milionów (bo tyle kosztuje budowa tego samolotu), to dość daleka droga. Apel jednak nie pozostał bez echa. Z dwu tysięcy, zrobiło się dziś 744 412 zł. Jeszcze trochę wysiłku, jeszcze odrobina ofiarności, a spełnią się zamiary młodzieży i już wkrótce wystartuje piękny samolot o wiele mówiącej nazwie „DAR MŁODZIEŻY".

„TĘCZOWA ESKADRA". — Wszystkim wiadomo, że „Służba Polsce" posiada samodzielny wydział lotnictwa, który szkoli junaków zarówno w szybownictwie, jak też w pilotażu motorowym. „Służba Polsce" to młoda organizacja, dopiero rozwijająca się, nie posiadająca jeszcze poddostatkiem samolotów i szybowców. Braki te usunięto częściowo w ramach Czynu Kongresowego pracowników warsztatów szybowcowych i lotniczych.

Pracownicy ci nie próżnowali. Do dnia 20 grudnia ub. r. wyszykowali wielką serię szybowców szkolnych typu „ABC" w ilości 25 sztuk, a oprócz tego jeszcze 5 szybowców treningowych typu „Komar". Jeżowskie Warsztaty Szybowcowe zaopatrzyły szkoły szybowcowe i aerokluby w szybowce przejściowe — „Salamandry" w ilości 75 sztuk. Warsztaty Lotnicze wypuściły serię (siedem sztuk) samolotów „Żak - 3".

Prócz tego „Służba Polsce" otrzyma jeszcze „Tęczową Eskadrę". Inicjatywa stworzenia tej eskadry należy do Ligi Lotniczej Nr 30 we Wrocławiu, przy Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Dlatego T ę c z o w a Eskadra, bo tęczowy kolor ma sztandar spółdzielców.

Co 7 radzi KALENDARZ

21. II. — Dzień Solidarności i Braterstwa ludów kolonialnych w walce z imperializmem.

Z tej okazji urządzamy kominki, zbiórki, akademie, zaznaczając naszą łączność i braterstwo z walczącą o wolność młodzieżą kolonialną.

W świetlicach naszych, w klasach, w izbach drużyn zawieszamy nową gazetkę ścienną poświęconą sprawom młodzieży kolonialnej.

27. II. 1936 r. — zmarł znakomity radziecki uczony fizjolog — Iwan Pawłow.

Może w prasie znajdziemy artykuły, z których dowiemy się o działalności wielkiego uczonego. Przeczytamy ciekawą książkę Frołowa — „Opowiadania o fizjologii?"

LEW KASSIL

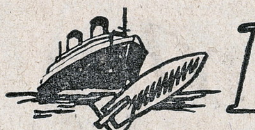

Fiedia

ZNAŁ już chyba z dziesięć liter, kiedy przyjechałem po raz pierwszy do jednej z baz floty północnej. Wystarczyło mu to w zupełności, by wyryć swe imię na torpedzie. Zastałem go przy tym zajęciu za płotem z drutu kolczastego, chroniącego bazę przed łodziami podwodnymi. Kiedy po pokazaniu wartownikom przepustki wszedłem do portu, ładowano właśnie torpedy do wielkiej łodzi. Długi, ciemnozielony, rybi kadłub podwodnego okrętu, leżał na wodzie przy ściance do cumowania. Marynarze w roboczych płóciennych kombinezonach składali orgomne torpedy na specjalny wózek i wywozili je ze składu. Z mroku kamiennej jaskini wynurzała się najpierw okrągła głowa torpedy, a potem wsparta niby na łapach, na niskich kółkach, wypełzała cała, podobna do olbrzymiego trytona, ku ogonowi węższa, ciężka, gładka i złowrogo połyskująca na słońcu. Nakładano na nią grubą warstwę smaru, przypominającego z wyglądu konfitury z jagód lub marmelady.

Koło torpedy kręcił się ośmioletni chłopak, chudziutki, z ostrym noskiem, którego czerwony koniuszek bliżej miał chyba do pozbawionego brwi czoła, niż do górnej wargi. Chłopiec miał jakby za dużą głowę, granatową furażerkę, ozdobioną z przodu błyszczącą kotwicą, a na rękawach poplamionej kurteczki widniały jedna nad drugą naszywki miniera, łącznika, artylerzysty, komendora, elektrotechnika i sygnalisty. Czerwone strzały, skrzyżowane błyskawice, kotwice, klucze francuskie, armaty... Naszywek było tak wiele, że ledwie się mieściły między ramionami i postrzępionym wyłogiem, z którego wyłaniała się chuda, brudna ręka. Malec okiem znawcy oglądał każdą wywiezioną torpedę, obchodził ją ze wszystkich stron, potem przykucnął przed nią i pociągając zadartym nosem z przejęcia, starannie kreślił coś palcem na warstwie tłuszczu, którym wysmarowana była torpeda. Podszedłem bliżej. Poprzez różowo - brunatną warstwę smaru mętnie połyskiwał wyryty palcem napis „OT FEDI" Kreska poprzeczna w rosyjskim „i" pochylona była w niewłaściwą stronę, wskutek czego litera podobna była do „N" i domyśliłem się, że niezmiękczone „e" jest również dziełem przypadku.

— No Fiedia, — spytałem, — co ty tu robisz?

— Podpisuję się, — odpowiedział Fiedia, spoglądając na mnie z ukosa i poprawiając palcem wykonany właśnie napis.

— Po co?

— Żeby wiedzieli od kogo — powiedział gniewnie malec.— Oni już znają moje pismo. Ja się zawsze podpisuję.

— A cóżeś ty za jeden?

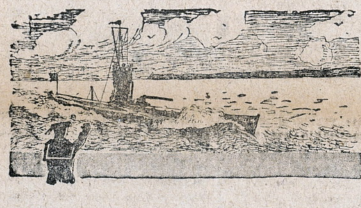

—Ja? — ze zdziwieniem jakby spytał chłopczyk, i zadarłszy nos jeszcze wyżej, spojrzał na mnie z dołu surowo. — Ja tu jestem jedyny chłopiec u nich...

— U kogo — u nich? Czyj jedyny?

— No ich wszystkich z floty. Ja jestem z podfloty*). Nie wie pan, czy co?

I odszedł ode mnie do drugiej torpedy, którą właśnie wytaczano na wózku spod skały. Jeden z marynarzy floty podwodnej, ująwszy wolną ręką Fiedię pod pachę, nie zatrzymując się posadził go okrakiem na torpedzie i chłopiec tak przejechał przede mną, obejmując nogami okrągłe i tłuste cielsko ogromnego śmiercionośnego pocisku.

— Rozstąp się narodzie, król Fieder na koniu jedzie! — zawołał z mostku łodzi człowiek w zatłuszczonej czapce (widocznie mechanik). — No i co, Fiedia, zrobiłeś swoje?

— W porządku — odpowiedział Fiedia.

— Czy to syn którego z was? zwróciłem się do marynarza, który go nazwał królem Fiedorem.

— Ale skąd, to cała historia — odpowiedział półgłosem marynarz.

— To Fiedia Tolbein. Nasz, z podfloty. Otrzaskany od maleńkości. Jego ojciec za bosmana był, na osiemnastym numerze, przy holowniku. A jak w zeszłym roku ewakuowali ich rodziny, morzem je posłali i Niemcy na morzu ich zaszli, zleciało się tych diabłów z pięć sztuk i jak zaczną walić. Kobiet tam. dzieci — straszne rzeczy! Widzieli przecież, że pasażery nie wojskowe, a nie dali spokoju, póki nie wykończyli. Zanim pomoc dopłynęła z brzegu, mało kto się na powierzchni utrzymał. Ojciec tego Fiedi, i matka, i siostrę miał także, wszyscy zginęli. A jemu się udało! Boję kotwiczną strąciła bomba, a on się jej uczepił. Ocalał on jeden. No, więc odstawili go na bazę. A tam wzięła go do siebie Dusia, ta co podaje w kajucie kapitańskiej, wiecie, kelnerka. No i tak już został u nas w podflocie. Jedyny w swoim rodzaju można powiedzieć. Tu przecież w całej zatoce, ani na żadnej łodzi dzieciaka nie znajdziesz, całą dzieciarnię ewakuowali, jak się wojna zaczęła. No, a ten, Fiedia, tak już wyszło, został na zawsze. Zresztą wiecie nam przecież jest weselej na duszy. kiedy na niego popatrzeć: człowiek zapomniał już jak dzieci wyglądają. To u nas przecież jeden, jedyny.

Tak poznałem historię Fiedi Tolbeina, wspólnego syna marynarzy floty podwodnej, wychowanka i ulubieńca północnych marynarzy. Bardzo go psuto w podflocie. Najznakomitsi marynarze, Bohaterowie Związku Radzieckiego, sam słynny Zwiezdin, Suchyrkow, niezmordowany Falkowski, darzyli go swoją przyjaźnią. I kiedy łódź wyruszyła na operację bojową, Fiedia zawsze odprowadzał przyjaciół, stał na „pirsie" i długo spoglądał na niknący w dali okręt. Marynarze floty północnej mają zwyczaj robienia napisów na smarach torpedowych. „Hitlerowi na pamiątkę" pisali na torpedach. „Kanaliom faszystowskim od marynarzy Północy" — kaligrafowali na pociskach, ładując aparaty torpedowe. „Za Kijów, za Sewastopol...". Któregoś dnia i Fiedia wybłagał, aby mu pozwolono zrobić napis. Znał parę liter i nagryzmolił na torpedzie swoje imię. I zdarzyło się tak, że Bohater Związku Radzieckiego Falkowski, właśnie tą torpedą, na której Fiedia się podpisał, zatopił wielki parowiec niemiecki. Falkowski płynął na małej łodzi — we flocie nazywają je „malcami". Torpedowce nieprzyjacielskie eskortowały statek z cennym ładunkiem. Ale „malec" przesunął się odważnie pod statkami konwojującymi i torpeda z napisem „OT FIEDI" trafiła prościutko w faszystowski parowiec. Statek wyleciał w powietrze, zarył się dziobem w wodę i wkrótce zatonął. Od tego czasu weszło w modę zabierać na wyprawę torpedy z podpisem Fiedi. Marynarze zapewniali żartobliwie, że Fiedia ma lekką rękę i przynosi szczęście.

Po całych dniach sterczał Fiedia w podflocie. Grał w klasy kreśląc je na grubych deskach pirusu, i gdy ktoś nieostrożnie stąpnął w klasę, Fiedia krzyczał ze złością:

— No, jak chodzisz!... Nie widzisz, tu przecież narysowane miny!

Falkowski podarował mu pozostawiony przez któregoś z ewakuowanych rower trzykołowy. W wieku Fiedi należałby się już rower na dwu kołach. Ale Fiedia niezbyt się przejmował liczbą kół swego pojazdu. I szeroko rozkładając ręce, by o nic nie zawadzić, z pończochami podartymi na kolanach, Fiedia rozjeżdżał po pirsie na swym trzykołowym rowerze, lawirując między palami do cumowania, torpedami i beczkami. Raz nawet zjechał stromym wąskim pomostem na stojącą przy ścianie łódź Zwiezdina, ale dostał za to taką porcję, że dwa dni potem chodził piechotą, bojąc się pokazać marynarzom na rowerze.

— Ech Fiedia, Fiedia! — mawiał do niego Falkowski, z którym zaprzyjaźnił się szczególnie. — I co z ciebie wyrośnie? Zagadka i tajemnica! Jeśli sobie nigdzie łba nie rozbijesz, przyda ci się w gospodarstwie, ale rozbijesz go napewno...

*) Skrócona nazwa floty podwodnej.

DWUDZIESTY

Siedzieliśmy w kuchni z nosami przylepionymi do szyb.

Za oknem, w lesie słychać było wystrzały.

Potem ucichły.

Na podwórko zamożnego gospodarskiego obejścia wbiegł żołnierz w białej futrzanej „papasze" z czerwoną gwiazdą i automatem w ręku.

Na podwórku ujadał pies.

Wyskoczyliśmy z izby. Był to bowiem pierwszy żołnierz Armii Czerwonej, którego widzieliśmy w życiu.

Oficer w białej „papasze" przywędrował w walkach do Polski aż z Taszkientu, w którym chodził do inżynieryjnej szkoły. Przywędrował z nieznanego Uzbekistanu.

Przyszedł po to, a z nim wielu, wielu innych — do Polski, Węgier, Rumunii, Bułgarii, Czechosłowacji, wreszcie do Berlina, — aby zwyciężyć Niemców, zniszczyć faszystów.

Chodziło o to, by znowu tysiące chłopców i dziewcząt mogło się uczyć i grać w piłkę...

* * *

Najpopularniejszym pisarzem dla młodzieży w Związku Radzieckim jest **Arkadjusz Gajdar.**

Napisał on wiele książek, dziesiątki opowiadań w ciekawy, a przytem niezwykłe prosty sposób.

„Timur i jego drużyna", **„Los Dobosza"** są wydane już w Polsce.

Arkadjusz Gajdar miał 15 lat gdy wstąpił do Armii Czerwonej. Było to w czasach rewolucji, kiedy na nowy kraj „stu narodów" zewsząd czyhały trudności i niebezpieczeństwa.

W 1942 roku w czasie walk z Niemcami na pozycje frontowe przyjeżdżał znany już pisarz i kapitan Armii Czerwonej. Był nim właśnie Gajdar.

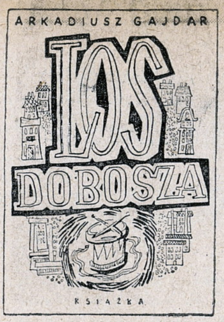

Otaczali go młodzi żołnierze, prosili by opowiadał — by przeczytał coś ze swojej nowej książki...

Byli to jego dawni czytelnicy — którzy wyrośli już z dziecinnych lat, a którzy nie zapominali jego książek — najlepszych przyjaciół dzieciństwa.

Inni autorzy książek dla młodzieży też jeździli na spotkania ze swymi czytelnikami. Do szkół, domów pionierskich, internatów.

Dyskutowali. Radzili. Co się podoba w książce, a co nie.

Czy prawdziwe, czy nieprawdziwe. Czy trzeba było napisać, tak czy inaczej.

Przecież losy Wani z książki W. Katajewa „Syn Pułku" były tak podobne do losów Miszy, Aloszy, czy też Iwana...

* * *

Katajew w książce **„SYN PUŁKU"** opisuje dzieje młodego pastuszka Wani, który został znaleziony przez oddział zwiadowców w czasie wojny.

Wojna, jak wojna dzieci na niej nie trzeba. Uradzono by Wanię odesłać na tyły. A Wani wcale się to nie uśmiecha. Chociaż załadowano go na ciężarówkę i wysłano na tyły...

Oto fragment z tej książki:

„Chłopak kroczył przed nim przebierając rzeźko mocnymi bosymi nogami i, jak gdyby odpłacając za obrazę, której doznał od zwiadowców, powtarzał wyzywająco:

— Wszystko jedno ucieknę! Choćbyście mnie przywiązali do siebie, wszystko jedno ucieknę.

WIELKA PRZYGODA NARCIARZA GAŁĄZKI

(Streszczenie poprzednich odcinków: Bohater opowiadania Witek Gałązka był znanym szeroko narciarzem. Nieraz już wspinał się na niezdobyte szczyty, toteż i tym razem, mimo niesprzyjającej pogody postanowił pójść w góry. Śnieg sypał od samego rana i było bardzo zimno. Gałązka po sprawdzeniu nart ruszył w drogę, ale nagle przypomniał sobie, że zapomniał w domu smaru narciarskiego)

...WRÓCIŁ DO DOMU I POCZĄŁ SZUKAĆ SMARU. ZNALAZŁ GO W SZAFIE, POCZYM SZYBKIM KROKIEM RUSZYŁ KU WYJŚCIU. JAK WSPOMINALIŚMY W POPRZEDNICH ODCINKACH (patrz streszczenie) PADAŁ GĘSTY ŚNIEG, MIMO TO JEDNAK GAŁĄZKA DZIELNIE ZMIERZAŁ DO CELU SWEJ WYCIECZKI.

(dalszy ciąg na stronie 7-mej)

Z podfloty

Od kogoś dostał Fiedia starą furażerkę marynarską. Chociaż zrobili w niej z tyłu zakładkę, była zbyt wielka i odstawały spod niej uszy. Marynarze, minierzy, elektrotechnicy, sygnaliści kupowali dla niego w sklepie marynarskim przepisowe naszywki na rękawy i wkrótce Fiedia stał się podobny do kufra podróżnego, oklejonego ze wszystkich stron hotelowymi nalepkami. Pewnego razu przyjechali zwiadowcy z półwyspu Rybackiego, z dalekiego morza na samym krańcu świata. Od dawna już nie byli w Wielkiej Ziemi. Otoczyli Fiedię i przyglądali mu się z wesołym i serdecznym podziwem.

— Patrzcie, prawdziwe dziecko! Bez blagi! — powiedział jeden z nich, ogromny mężczyzna, z rozpiętym kołnierzem bluzy, spod którego wyzierała marynarska koszula. — Znaczy się, że życie idzie swoim trybem, pętaki rozjeżdżają na rowerach! Porządek jest! Wal, bracie, naciskaj pedały!

I darował Fiedi zdobyczny scyzoryk.

Nazajutrz Falkowski spotkał Fiedię w pobliżu podfloty. Fiedia szedł z wizytą do zwiadowców, którzy zatrzymali się w domu dowódcy portu. Ujrzawszy przyjaciela, Fiedia szybkim ruchem zapiął kurtkę. Wydało się to Falkowskiemu podejrzane.

— Pokażno, pokażno, co tam chowasz?

Fiedia począł gwałtownie kaszleć.

— Zaziębiłem się wczoraj.

— Zaziębiłeś się? Rozepnij kurtkę, dawaj to twoje zaziębienie, osłucham cię.

—Kiedy tak nic nie słychać, tylko w gardle mnie tak drapie, że muszę kasłać, nawet mnie boli jak kaszlę.

— No jeżeli nie słychać, to może widać przynajmniej. Co? — nalegał nieubłaganie Falkowski. I odsunąwszy na bok ręce Fiedi, rozpiął mu kurtkę.

— Któż ci taką koszulę wyspekulował? Czekajno, przecież ty to masz po prostu na skórze? Och Fiedia...

— Nie łechczcie mnie, ręce macie zimne, i tak jestem przeziębiony — burknął Fiedia zawstydzony, zapiął kurtkę, pod którą cała skóra na piersi wysmarowana była ołówkiem chemicznym na niebieski kolor, żeby się ludziom zdawało, że Fiedia nosi marynarską koszulkę. Falkowski obiecał mu, że nikomu o tym wydarzeniu nic powie. Zaprowadził Fiedię do siebie i z trudem umył go w gorącej wodzie. Od tego czasu znakomity marynarz i Fiedia zaprzyjaźnili się jeszcze bardziej.

Falkowski odpłynął wkrótce na niebezpieczną wyprawę na swej łodzi. Fiedia podpisał się na jego dwu torpedach. Falkowski odpłynął. Po kilku dniach, przyszły o nim na bazę złe wieści. Fiedia podsłuchał jak Zwiezdin mówił po cichu Sucharkowi:

— Słyszałeś Wałek, Niemcy Falkowskiego nakryli! Kogoś tam przerąbił a teraz uganiają się za nim i nie dają mu wypłynąć.

— Może przeczeka na głębiach, — powiedział cicho Sucharkow.

— Akurat ci przeczeka. Nie znasz Falkowskiego. To przecież ogień, zaryzykuje na pewno. Zresztą jak długo ma przeczekiwać? I tak już przeciągnął wyprawę.

— A bo co, czy jest w niebezpieczeństwie? — nie wytrzymał Fiedia, wtrącając się do rozmowy.

— W jakim niebezpieczeństwie? Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, usłyszałeś, że dzwonią i odrazu ci niebezpiecznie. — Siadaj lepiej, bracie na rower i jazda.

Ale Fiedia nie wsiadł na rower, tylko wdrapał się na wielki słup od cumowania okrętów i długo na nim siedział, oglądając zatokę, w której stały torperowce, statki wartownicze, kutry myśliwskie... wszystkie były na miejscu, tylko Falkowskiego nie było i pustką świeciło miejsce, gdzie zazwyczaj stała jego łódź. Chłodna, zielonkawa woda, pluskała tam obco pomiędzy palami, jak gdyby łkała. Fiedia ześlizgnął się z pala i z opuszczoną głową, patrząc na nieprzytulne morze, powlókł się z bazy, prowadząc jedną ręką rower, którego pedały poruszały się na próżno i bez sensu... Tegoż wieczora Fiedia nie chciał jeść pączków, które przyniosła mu Dusia z kajuty kapitańskiej. Długo nie mógł zasnąć, wciąż myślał o Falkowskim... To musi być straszne, kiedy nad głową jest woda, i dokoła tylko woda i woda. A tuż — tuż, wybuchają straszne bomby głębinowe, podrzucając łódź z całych sił, tylko patrzeć, jak która trafi, zgniecie łódź, rozpłaszczy... Wreszcie zmordowany zasnął. Rankiem zrobiło się chłodno i wskutek tego wydawało mu się we śnie że leży w zimnej wodzie, na samym dnie, a uszy ma niby skrzele, oddycha nimi, jednym uchem nabiera wodę, a drugim ją wypuszcza. A z góry nagle poczęła nań spadać bulgocząc bomba głębinowa — i jak nie wybuchnie!... Obudził Fiedię potężny huk za oknem. Po nim nastąpił drugi. I zerwawszy się z łóżka, zobaczył jeszcze lekki obłoczek dymu, unoszący się z armaty na łodzi podwodnej, która w tej chwili właśnie z podniesionymi znakami sygnałowymi szybko wchodziła do przystani. I Fiedia poznał od razu łódź Falkowskiego — nikt oprócz niego w takim pędzie

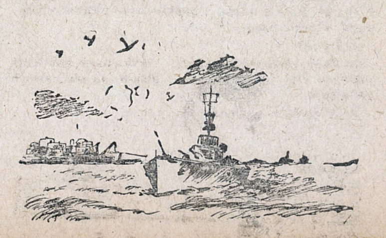

nie wpływał w wąską gardziel zatoki. Dwie salwy zaś jakie dał Falkowski, wchodząc do przystani, oznaczały, że powrót jest zwycięski: dwa okręty faszystowskie poszły na dno.

Fiedia skoczył na wybrzeże. Marynarze biegli w stronę „pirsu". Wyprzedzając ich, zawadzając o łokcie, nie zwracając uwagi na przyjacielskie poklepywanie ,z całych sił pracował pedałami, pędząc na przystań na swym rowerze. O mało nie zwalił z nóg olbrzyma Milcchina, starszego kucharza ze stołówki podfloty. Kucharz biegł z białą czapką zsuniętą na tył głowy, w śnieżnym fartuchu i dysząc ciężko mruczał:

— Skaranie boskie!

A marynarze, wyprzedzając go, wołali:

— Żegnaj się ze swoimi prosiakami, słyszysz, Milechin?

Falkowski dał dwie salwy, znaczy się — wal do pieca dwa prosiaki! Fewniak! Nic nie poradzisz, taki już jest obyczaj, prawo! Porządek musi być!

Fiedia nadjechał akurat w chwili, kiedy z łodzi rzucano sznury i Falkowski, mrużąc obrzękłe, czerwone ze zmęczenia oczy, zeskoczył na pomost przystani. Nie, Fiedia nie podbiegł do swego przyjaciela. Znał morskie obyczaje. Stał cierpliwie na uboczu, wytrzeszczając oczy z radości i nie spuszczając ich z kapitana, który z ręką przy czapce meldował kontradmirałowi, dowódcy ugrupowania łodzi podwodnych, że operacja została przeprowadzona...

Zatopiliśmy dwa transportowce nieprzyjacielskie — jeden klasy ośmiu tysięcy ton, drugi chyba ze sześć — meldował Falkowski. — Następnie zaatakowały mnie dwa torpedowce. Wyrzuciły ogółem dwieście osiemdziesiąt dwie bomby głębinowe. Wydostałem się. Zadanie zostało wykonane. Strat w ludziach nie ma. Uszkodzenia są nieznaczne.

I teraz dopiero Fiedia zobaczył na łodzi straszliwe ślady bliskich wybuchów bomb głębinowych. Na żelaznym pokładzie wszystko było pogniecione, poskręcane, pomięte. A tymczasem zadowolony kontradmirał zapalał już papierosa, nie zapomniawszy poczęstować przybyłego z wyprawy bohatera i pytania, jakie zadawał teraz dowódca, przechodziły już w zwykłą przyjacielską rozmowę. Oficjalna część powitania była skończona. Zwiezdin i Sucharkow po kolei obejmowali Falkowskiego i z zadowoleniem klepali go po plecach.

— Ile w ogóle puściliście torped? — spytał kontradmirał.

— Ogółem trzy, towarzyszu kontradmirale. Z tego dwie trafiły.

— Czy moje? — spytał spod czyjegoś łokcia Fiedia, który przysunął się bliżej.

— Właśnie ,że twoje! — roześmiał się Falkowski. — Obie „ot Fedi".

— Poszły na zimno ,czy na gorąco? — odpytywał się rzeczowo Fiedia, żądny wszelkich szczegółów.

c. d. n.

TRZECI LUTY

— A co ty sobie myślisz. I przywiążę. U mnie to niedługo. Zobaczymy, jak wtedy uciekniesz.

Bidenko zamyślił się.

— Jak Bogam kocham, — powiedział nagle zdecydowanym tonem. — Oto wezmę sznur i przywiążę.

Bidenko rzeczywiście, jak każdy zapobiegliwy zwiadowca miał zawsze przy sobie z pięć metrów cienkiego i mocnego sznura. I na serio zaczął rozmyślać nad tym, czy nie przywiązać Wani do siebie, kiedy wsiądą do auta. Wypadało im jechać dosyć daleko. W drodze można by było zdrzemnąć się, jak się patrzy. A jak tu się zdrzemnąć, kiedy w każdej chwili chłopak może wyskoczyć z auta.

„No cóż, naprawdę — myślał Bidenko — przywiążę — i skończona historia. A potem, kiedy przyjedziemy na miejsce, odwiążę. Nic mu się nie stanie".

I rzeczywiście. Kiedy wyszli na drogę i wsiedli do napotkanego auta, Bidenko wyjął z kieszeni starannie złożony sznurek.

— No, trzymaj się, pastuszku, będę cię teraz przywiązywał — powiedział wesoło, starając się obrócić sprawę w żart, ażeby nie obrazić chłopca.

Ale Wania ani myślał się obrażać. Podchwycił ten niby żartobliwy ton i odpowiedział też w takim samym duchu:

— Przywiązujcie, wujaszku, przywiązujcie. Tylko węzeł zróbcie mocniejszy, ażebym go nie rozwiązał.

— Mojego węzła, bracie, nie rozwiążesz. Jest to podwójny morski.

Przy tych słowach Bidenko przywiązał koniec sznura podwójnym morskim węzłem do ręki Wani wyżej łokcia, a drugi koniec okręcił dokoła swojej pięści.

Ciężarówkę znaleźli bardzo dobrą, wielką, pokrytą brezentem — nowiutkiego amerykańskiego „Studebeckera". Szła pusta do tego samego miejsca dokąd i oni zamierzali. Początkowo Bidenko i Wania byli jedynymi jej pasażerami. Umieścili się bardzo wygodnie na pu-

stych workach tuż przy kabince kierownicy, gdzie zupełnie nie trzęsło.

Bidenko kilka razy próbował nawiązać rozmowę z chłopakiem, ale Wania ciągle uporczywie milczał...

...Bidenko położył się znowu i zadrzemał, ukołysany równomiernymi podskokami ciężarówki.

Tym razem spał dosyć długo i spokojnie. Ale mimo wszystko, po przebudzeniu, nie zapomniał szarpnąć sznurka. Wania nie odezwał się.

„Śpi chyba — pomyślał Bidenko — chwała Bogu, zmęczył się".

Bidenko przewrócił się na drugi bok, znowu się nieco zdrzemnął, a potem na wszelki wypadek szarpnął sznurek.

— Słuchajcie, nie rozumiem, co się dzieje? Kiedy to się nareszcie skończy? — rozległ się z ciemności gniewny głos kobiety. Dlaczegoż to przywiązano do mnie jakiś sznurek? Dlaczego mnie szarpią? Któż to mi przez cały czas nie daje spać?

Bidenko zlodowaciał.

Zapalił latarkę elektryczną i w oczach mu pociemniało.

Chłopaka nie było. A sznurek był przywiązany do buta kobiety-chirurga, która siedziała na podłodze, groźnie błyskając okularami, na które padało światło latarki.

— Ech, kierowca! Stój! — krzyknął Bidenko, strasznym głosem, waląc ze wszystkich sił pięścią w kabinę kierowcy. Wani nie było..."

Wania staje się potem dobrym żołnierzem, zwiadowcą, jest w niewoli niemieckiej — wreszcie wyjeżdża do szkoły kadetów...

23 lutego 1949 roku mija 31 lat od utworzenia Armii Czerwonej.

W dniu tym naród radziecki obchodzi święto swojej armii. Może wśród kadetów maszerujących na defiladzie przez Plac Czerwony w Moskwie, będzie Wania i Fiedia z „podfloty".

GRZEGORZ LASOTA

WIELKA PRZYGODA NARCIARZA GAŁĄZKI

(Streszczenie ostatnich odcinków: Witek Gałązka, głośny taternik i znakomity narciarz, nie zważając na fatalne warunki atmosferyczne i nie bacząc na śnieg sypiący już przez cztery odcinki, wybrał się na wycieczkę, która zaczęła się niezbyt szczęśliwie, gdyż musiał wrócić do domu po smar. Wreszcie ruszył ponownie i brnąc po pas w śniegu, zaczął się zbliżać do celu wycieczki).

A CELEM TYM BYŁ STROMY I NIEBOTYCZNY, ZDAWAŁOBY SIĘ SZCZYT, KTÓRY WIDNIAŁ TAM, HEN, W ODDALI.

(ciąg dalszy na stronie 8-mej)

JANUSZ MEISSNER

Skrzydła nad Arktykiem

ILUSTR. H CHMIELEWSKI

ROZDZIAŁ I

W trzecim z rzędu rejsie Junak II opóźnił się.

4 września, to jest w okresie gdy statki Wielkiej Linii Północnej przechodzą zwykle cieśninę Beringa, lub nawet mijają już wyspę św Wawrzyńca, s-s Junak II opuszczał dopiero morze Nordenskiölda, pozostawiwszy ładunek przeznaczony dla pewnej radzieckiej stacji meteorologicznej. Do cieśniny Beringa pozostało jeszcze około 1.300 mil, co dla transportowca stanowiło o tej porze w najlepszym wypadku trzy tygodnie podróży, wliczając w to postoje w portach.

Kapitan Pilewicz niepokoił się tym stanem rzeczy coraz poważniej i liczył się nawet z możliwością zimowania wśród lodów. Na domiar złego kilku ludzi było chorych, pozostali zaś ledwie mogli podołać ciężkiej pracy w warunkach nadchodzącej zimy polarnej.

Junak liczył 2.300 ton wyporności. Jego ładunek stanowiły przeważnie konserwy z jarzyn i zapałki dla Korei, oraz węgiel i drobnica dla kilku pośrednich portów wschodnio - azjatyckich.

Wielką Linię Północną obsługiwało kilkanaście podobnych statków. Od czasu gdy radziecka żegluga zdobyła północne morza od Murmańska do półwyspu Czukockiego, w miesiącach letnich statki zaczęły kursować regularnie przy pomocy flotylli lodołamaczy, która strzegła tej drogi. Wymiana towarów między Europą a wschodnim wybrzeżem azjatyckiego kontynentu została częściowo przerzucona z dróg lądowych na morskie.

Dwadzieścia dni opóźnienia na Arktyku to nie jest to samo, co trzy tygodnie różnicy w dacie przybycia do celu. Między 70 a 75 stopniem szerokości geograficznej morze prawie nigdy nie bywa wolne od lodów. A tylko w ciągu kilku letnich miesięcy dobrze opancerzony statek zdoła dostatecznie stawić im czoło. Jeżeli spóźni się w drodze, jeżeli przed nastaniem zimowych mrozów i nocy polarnej nie zdoła przepłynąć między półwyspem Czukczów, Alaską i wyspą św.

Kapitan statku „Junak II”

Wawrzyńca — grozi mu więzienie lodowe aż do wiosny, lub — co gorsze — zmiażdżenie kadłuba w kleszczach napierającej kry. A wrzesień często bywa początkiem polarnej zimy, choć słońce świeci jeszcze po dwanaście godzin dziennie na tej szerokości.

Ani kapitan Pilewicz, ani jego oficerowie pokładowi Jan Szczepanik i Tadeusz Burnagiel, ani załoga wreszcie nie ponosili winy tego opóźnienia. Nie można było również obwiniać pilota - wywiadowcy, Adama Plichty, zaokrętowanego na ten reis na miejsce jego poprzednika, który zachorował niemal w ostatniej chwili.

Wprawdzie kapitan skrzywił się zobaczywszy po raz pierwszy drobną, niepozorną postać młodego człowieka, który wszedł w Gdyni na pokład Junaka II, aby się zameldować i objąć komendę nad mechanikiem i samolotem, ale już na morzu Barentsa mógł ocenić jego zdolności, później zaś, w miarę jak coraz częściej trzeba było uciekać się do wywiadu lotniczego przy poszukiwaniu przejść między lodami, nabrał zaufania do tego wesołego chłopca i przekonał się do niego zupełnie.

Na najtrudniejszym etapie drogi, właśnie tam, gdzie powstało owo trzytygodniowe opóźnienie, Plichta znowu poleciał na wywiad. Było to nazajutrz po opuszczeniu Nowej Ziemi, na morzu Karskim.

To płytkie morze, pełne skał podwodnych i ledwie widocznych wysepek, zapchane było grubą krą, która spiętrzała się na większych taflach, niesiona prądem wpadała na wysepki i skały, więzła między nimi i tworzyła szerokie, nieprzebyte bariery nieraz na przestrzeni kilkudziesięciu mil.

Lód chrupał, ścierał się na drobną kaszkę tężał znów w większe bryły i bloki, wspinał się na burty statku pod ciśnieniem napierających mas kry, obmarzał na stalowych płytach pancernych dzioba, przywierał do steru.

Junak II płynął coraz wolniej, krająć z wysiłkiem gęsty krupnik przed sobą. Cofał się, nabierał rozpędu, wrzynał się w spiętrzone bariery i wywalczał sobie z trudem przejście. Ocierał się o góry lodowe z okropnym chrzęstem kruszonego szkliwa, łamał i rozdzielał zlepione kawały lodu, wiązł między nim i największym wysiłkiem swych maszyn przedzierał się dalej, na próżno oczekując ukazania się łamaczy lodu, których pomocy wzywał już parokrotnie przez radio.

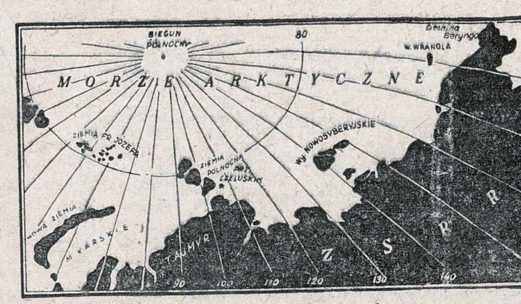

Mapa terenów arktycznych

Lodołamacze nie przybywały. Tego lata miały więcej jeszcze roboty niż zwykle: niemal wszystkie przejścia, zazwyczaj wolne od pól lodowych, zostały zatarasowane. Olbrzymie transporty radzieckiego drzewa z Archangielska i z Aleksandrowska na morzu Białym i Barentsa utknęły w drodze. Zagrożone były wszystkie północno - wschodnie porty norweskie i będący w budowie port Obdorsk w zatoce Obskiej, którą forsowały aż trzy pancerne statki.

Drugiego dnia na morzu Karskim Junak został zatrzymany przez przeszkodę nie do przebycia. Ogromne, tak silnie spojone, że nieomal jednolite bloki zielonkawego lodu tworzyły szeroką na paręset metrów zaporę, o którą tłukły fale, wyrzucając całe tony drobnych odłamków, piętrzących się miejscami na kilka metrów nad poziomem morza. Ten wał lodu, zasłaniający cały horyzont na wschodzie, biegł jak okiem sięgnąć z północy na południe w poprzek drogi statku. Grubość jego mogła wynosić kilkanaście metrów, mógł wspierać się swą podwodną podstawą na dnie, mógł trzymać w swym uścisku wyspy rozsiane dokoła, lub wrastać między skały. Był niewzruszony i potężny.

Jego brzeg wygładzony przez fale wił się kapryśną linią, tworząc obłe zatoczki i płytkie rozpadliny o lśniących, roziskrzonych słońcem ścianach.

Wzdłuż tego brzegu leżał niezbyt szeroki pas ciemnego, rozkołysanego morza, wolny od większych brył lodu. Miejscami widać było przez przezroczystą toń bielejące w głębi podwodne tarasy i zbocza lodowca, stromo opadające w dół. Natomiast za rufą statku gęste kry wśród nieustannego szumu i chrobotu ścierały się z sobą na nieobjętej wzrokiem, ruchliwej, migocącej w promieniach słońca równinie, czyniąc wrażenie olbrzymiej ławicy ryb, których grzbiety sterczą nad powierzchnią wody.

Zwodnicze, zmienne prądy przeganiały te ławy lodowych krup, krążyły po niezbadanych szlakach, krzyżowały się i wywijały nawzajem, pędząc wędrowne masy lodu z północy na południe, zataczając łuki na wschód, wracając na północ i cofając się przed inwazją nowych, jeszcze nie rozkruszonych płyt i brył, przybywających może aż spod bieguna.

Kry rozpychały się, jak ludzie w tłumie, wpadały na siebie z chrzęstem, tonęły wgniatane pod spód mniej zanurzonych towarzyszek i wyskakiwały na powierzchnię odwrócone sztorcem, aby znów rozeprzeć się w ciżbie kosztem innych, które szły pod wodę. Lód kruszył się na żwir, mielony, ściskany, rozcierany i odłupywany z większych kawałów. Potem tężał, zlepiał się i tworzył gąbczaste skupiska, które z kolei znów podlegały nieustannemu procesowi tarcia. Morze syczało, chrobotało, żuło i prychało cierpliwie i jednostajnie.

Tylko u ściany lodowego zatoru pienista tafla ciskała sobą o śliski brzeg i wrzała gniewnie, pozostawiając na grzbiecie bariery coraz wyższy osad miałkiego chaszu.

Junak II stanął w miejscu, dysząc parą. Plichta z kapitanem wyszli na bak, gdzie już mechanik Przywara zdejmował pokrowce z samolotu.

— Najpierw niech pan leci na północ — powiedział komendant. — Tam morze jest głębsze i najprawdopodobniej w tej stronie znajdzie pan przerwę, albo przynajmniej jakieś zwężenie zatoru. Musi je pan dobrze zbadać, zanim pan wróci. Chyba orientuje się pan już, jaki lód może pokonać mój statek, hę?

— Naturalnie, panie kapitanie...

— Naturalnie, naturalnie! Smyk pan jesteś. Zrozumiano? To by wcale nie było naturalne, gdybyś pan się na tym znał. Widział pan już kiedy taką barierę?

Plichta przyznał, że nie. Na morzu Barentsa spotykali wprawdzie pływające góry lodowe i zbiorowiska wielkich płyt kry, które omijali bez większych trudności lub przecinali w poprzek według danych lotniczego wywiadu młodego pilota, ale zawsze były to kry, nie zaś stałe lody. Adam wiedział wprawdzie, że statki typu Junaka mogą dać sobie radę z lodem dość znacznej nawet grubości, wpełzając nań wysokim dziobem i łamiąc go pod swoim ciężarem, ale nie zdawał sobie sprawy, jak gruby lód Junak może pokonać.

— No więc właśnie — zrzędził kapitan. — Muszę panu dać kogoś, kto się na tym rozumie. Djabli wiedzą, gdzie się ten lodowiec kończy...

— Może by porucznik Szczepanik poleciał ze mną — poddał Plichta.

— Co? Pierwszy oficer? Nie: pierwszy oficer musi być na statku. Burnagiel ma wachtę i nie będę go zmieniał. Nie poślę przecież także Krzyczkowskiego. Niech pan nie gada głupstw: Krzyczkowski jest dobrym mechanikiem, ale poza tym... No, to nie należy do pana, co poza tym.

Gryzł nieporządne siwe wąsy i gadał swoim zwyczajem na pół do siebie, patrząc ponad głowę Plichty.

Pilot czekał na decyzję.

— Czego pan stoisz u licha? — wpadł na niego komendant. — Weźcie służbową wachtę i spuszczajcie maszynę na wodę. Niech panu Burnagiel pomoże uruchomić kran.

Plichta zdążył już przywyknąć do nieco oryginalnego stylu i sposobu bycia dowódcy Junaka, nie brał więc sobie do serca ani jego opryskliwego tonu, ani straszliwego ruszania wąsami. Porozumiawszy się z Przywarą, który tymczasem lał już gorący olej do zbiornika samolotu, rozmyślał jak to jest możliwe, aby ten stary grubas wiecznie roztargniony i burczący pod nosem, przeobrażał się w chwilach decydujących w człowieka o niezłomnej woli i zimnej krwi; jakim sposobem potrafił zdobyć sławę jednego z najlepszych kapitanów w północnej żegludze; jak godził zwykłą gadatliwość ze stanowczością w niebezpieczeństwie; jak z piły, którą był na codzień mógł w jednej chwili zmieniać się w bystrego, wydającego jasne i celowe rozkazy kapitana, o którym podwładni mówili, że potrafi uratować statek, choćby sprzęgły się na jego zgubę wszystkie burze, tajfuny, sztormy i huragany wszystkich naraz słonych wód świata.

Pod wpływem tej opinii, Plichta obejmując na Junaku służbę zupełnie inaczej wyobrażał sobie postać kapitana Pilewicza. Spodziewał się, że komendant Junaka II jest wysoki, żylasty i chudy. Przypuszczał, że ma energiczną twarz bez zarostu i chłodny, stanowczy

Lotnik pokładowy — Plichta

wyraz oczu pod krzaczastymi brwiami. Że trzyma się prosto, że jest raczej milczący, zamknięty w sobie i oszczędny w słowach.

Tymczasem na mostku kapitańskim ujrzał tęgiego starszego pana z wystającym brzuchem, utykającego na jedną nogę i różniącego się zasadniczo wyglądem zewnętrznym od typu, jaki powszechna wyobraźnia nadaje wilkom morskim. Zaniedbany zarost na czerwonej twarzy, piwne żywe i bystre oczy, zawsze potargane, mocno już szpakowate włosy, źle zawiązany krawat, stara zatłuszczona czapka z połamanym daszkiem, przygarbione plecy i schrypły, wiecznie donderujący głos — składały się na postać, która byłaby bardziej na miejscu za sterem jakiegoś małego trampa lub przemytnika alkoholu, niż na mostku kapitańskim statku regularnej linii handlowej.

Burnagiel nadszedł w samą porę, kiedy już Lamers K-6 był gotów do szpuszczenia na wodę. Czerwone skrzydła samolotu, złożone przedtem wzdłuż kadłuba i osłonięte pokrowcami z nieprzemakalnego płótna, rozkrzyżowały się teraz i wystawały za burty. K-6 wyglądał jak pyszny owad, który tylko co wykluł się z szarej poczwarki i grzeje się w słońcu zanim poleci. Był smukły i zgrabny. Tylko długie stalowe pływaki podwozia z zadartymi w górę nosami nie dodawały mu wdzięku, gdy stał na pokrywie przedniego luku. Mogło się zdawać, że ich nie zdoła unieść w powietrze, tak były wielkie i tak ciężkie się wydawały.

C·D·NASTĄPI

WIELKA PRZYGODA NARCIARZA GAŁĄZKI

Rozdział II.

(Streszczenie rozdziału I: Któż nie znał nieustraszonego narciarza Witka Gałązki? Do wieńca zdobytych szczytów tatrzańskich postanowił dołączyć jeszcze jeden i w tym celu wyruszył na wycieczkę, choć przez tyle odcinków mógł się już dawno rozmyślić i nie ryzykować zdrowia w czasie takiej śnieżycy. W międzyczasie (a raczej w domu) zapomniał smaru do nart, wrócił się, ruszył ponownie i szybko zbliżał się do niebotycznego szczytu, który widniał tam, hen, w oddali).

WRESZCIE, DZIELNY WITEK USIADŁ NA SZCZYCIE ODPOCZYWAJĄC, A GDY SPOJRZAŁ W DÓŁ, NIC NIE ZOBACZYŁ, BOWIEM BYŁ PRZYSYPANY ŚNIEGIEM AŻ PO BIAŁKA OCZU. WÓWCZAS ZAKRZYKNĄŁ BEZTROSKO:

— HAJLA - LI - III-UUU!

I POSTANOWIŁ ZJECHAĆ W DÓŁ Z TEJ KARKOŁOMNEJ GÓRY.

(dalszy ciąg na stronie 9-tej)

KŁOPOTY Z LITERAMI

Mojego małego brata Kazia wszystko interesuje. Co chwila o coś pyta i nie zadawala się bylejaką odpowiedzią, lecz musi dokładnie wiedzieć: jak, co i dlaczego. Wczoraj po obiedzie zabrałem się do oglądania książki o piśmie. Zatrzymałem się właśnie nad tablicą przedstawiającą rozwój pisma od czasów najdawniejszych, kiedy nadszedł Kazio.

— A co to jest? — **zapytał.**

— Nie widzisz — pismo.

— Acha, to znaczy litery — powiedział Kazio, chcąc mnie zachęcić do bliższych objaśnień.

— Wcale nie litery, bo pismo niekoniecznie musi się składać z liter — odpowiedziałem.

— A z czego? — pytał Kazio, coraz bardziej zaciekawiony.

УСПЕХ ГАРМЕЙСКИХ

Pismo zwane „cyrylicą”.

Zrezygnowałem więc z przyjemnej lektury i zrobiłem Kaziowi mały wykład.

Z pismem było tak. Najpierw nie tylko dzieci, jak teraz, ale również i dorośli ludzie nie umieli pisać i czytać. Wcale nie dlatego, że nie chcieli się uczyć, lecz poprostu nikt jeszcze nie wynalazł sztuki pisania.

Oczywiście to było, bardzo

Hieroglify egipskie.

bardzo dużo lat temu. Ta nieumiejętność nastręczała ludziom dużo kłopotów. Jeśli mieli jakąś rzecz do zakomu**nikowania komu innemu,** musieli mu o tym powiedzieć.

Jeśli chcieli coś zapamiętać, to nie mogli zapisać, tak jak my to dziś robimy, na kartce papieru, lecz musieli uczyć się na pamięć.

Naprzykład myśliwy zna**lazł ślad zwierzyny** — (wtedy ludzie jeszcze trudnili się polowaniem) — i zamiast jak codziennie wrócić wieczorem do domu, wybiera się na kilkudniową wyprawę w dalsze strony. Zaszedł więc do groty, służącej mu za mieszkanie i chce o tym powiedzieć żonie. Żony nie ma, poszła do zdroju po wodę i nie prędko wróci. Inni myśliwi czekają, nie ma czasu. Najlepiej byłoby napisać karteczkę i zostawić. Cóż zrobić kiedy nasz biedny pradziad nie potrafił pisać.

Takich i innych trudności wynikających z nieznajomości pisania było dużo. **Sprytniejsi** więc ludzie, zaczęli myśleć nad sposobem zaradzenia temu. Ktoś wpadł na pomysł, że **przecież to co się chce powiedzieć** można narysować i tak powstało pierwsze pismo obrazkowe. Myśliwy, idąc na polowanie, rysował drogę, jelenia i siebie strzelającego z łuku, i żona wiedziała o co chodzi.

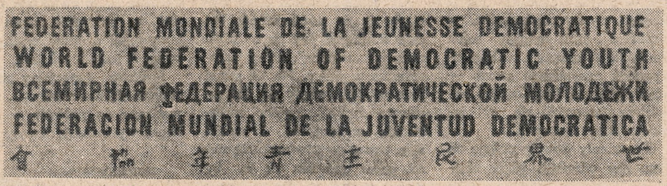

Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej w pięciu językach: francuskim, angielskim, rosyjskim, hiszpańskim i chińskim.

Z czasem rysunek się **uprościł, zamiast pokazywać na**przykład całego człowieka, wystarczyło zrobić kreskę, na niej kółko oznaczające głowę, strzałę i wszystko wiadomo.

Wiele rzeczy jednak nie dało się narysować, bo jak naprzykład pokazać daleką drogę lub miłość do dzieci? Na takie rzeczy trzeba było wprowadzić specjalne znaczki, znane tylko tym, którzy ich się uprzednio nauczyli. Pismo takie było czymś w rodzaju rebusów i odczytanie jego stawało się coraz trudniejszym w miarę powiększania się zasobu pojęć używanych przez człowieka. Tak naprzykład chińczycy, którzy po dzień dzisiejszy używają tego systemu, mają aż 40.000 różnych znaków.

Jest tam w szkole czego się uczyć, prawda?

Ten sposób używany naprzykład przez Egipcjan, piszących swoje znaczki, a raczej wydłubujących je w kamieniu przy pomocy specjalnych dłut o kształcie klina (**stąd pismo klinowe**), **został zmieniony** jeszcze w czasach starożytnych na inny, dogodniejszy.

Otóż ludzie zauważyli, że zamiast rysować różne przedmioty i czynności, których jest bez liku, można rysować znaczki oznaczające dźwięki. Np. zamiast rysować podobiznę konia, można zrobić kilka znaków oznaczających dźwięki którymi określamy to zwierzę. I tak właśnie to obecnie robimy. Dźwięków jest znacznie mniej niż pojęć, i mniej trzeba będzie się uczyć na pamięć. Pierwsi, takie pismo literowe zaczęli rozpowszechniać kupcy feniccy. Z czasem wszystko uproszczono i ustalono ilość liter obecnie używaną. Oczywiście te nowe znaczki, miały różny kształt w

די אינטערנאציאנאלע קאָנפערענץ

Pismo hebrajskie.

różnych krajach. Inne są naprzykład litery arabskie, greckie i pokrewna z nimi słowiańska cyrylica. W Europie zachodniej przyjęto alfabet wy-

ΠΕΡΙΚΛΗΣ ΑΜΦΙΠΟΛΙΩ

Pismo greckie.

myślony przez rzymian, czyli alfabet łaciński.

System pisania był i jest różny u różnych narodów.

W alfabecie arabskim piszemy od strony prawej ku lewej. Grecy początkowo pisali jeden rząd od prawej ku lewej, a drugi od lewej do prawej, i tak na zmianę. Później dopiero zaczęli pisać wszystko od lewej ku prawej, ten sposób od nich przyjęli Rzymianie, od nich z kolei inne narody Europy.

Warto jeszcze wspomnieć, że język łaciński miał znacznie mniej dźwięków niż później powstałe inne języki europejskie. Do wyrażenia ich wystarczyło tylko 24 litery.

Kiedy później inne narody przyjęły ten alfabet, powstał kłopot z oznaczeniem nowych, nieznanych Rzymianom dźwięków. Liter było za mało. Różnie sobie z tym poradzono. Umówiono się naprzykład, że parę liter razem oznacza inny dźwięk, niż gdy te litery stoją w innym porządku np. nasze „sz” czytamy nie jak dwa osobne dźwięki s i z lecz jako jeden nowy. Stąd w szkole mamy dużo kłopotów z pisaniem. Nie wiemy np. kiedy, u a kiedy ó, męczymy się nad ż i rz. Dzieci rzymskie miały lepiej. Ale pocieszmy się, że **Anglicy mają jeszcze bardziej skomplikowaną pisownię, a** mały chińczyk żeby napisać list, musi znać bodaj 7.000 znaczków, jego tatuś zaś 40.000. **Przy ich kłopotach z pisaniem, nasze są naprawdę** dziecinną zabawką.

JAN ŚWIDZIŃSKI

Rozwiązanie krzyżówki z Nr 2 (136) „Swiata Przygód"

Poziomo: dur, jod, konar, zator, na, Ewa, om, km. (kilometr) KP. (Kazimierz Pułaski), ił, tu, ot, ra, ar, osa, Jukon, umowa, ład, ale, Po.

Pionowo: junak, Potop, don. ra, ja, dom, re, ża, we, mit, kur, orkan, as, Opole, auł, on, Au (Aurum), owe, od, ma.

Za dobre rozwiązanie krzyżówki z nr 2 (136) „Świata Przygód" nagrody książkowe otrzymują:

1. **Ludwik Bednarz** — Bąków, pow. Kluczbork (Dolny Śląsk),
2. **Jerzy Chronowski** — Kraków, ul. Długa 84 m. 10.
3. **Marek Kieszkowski** — Podkowa Leśna Wschodnia k. Warszawy, ul. Jaworowa willa „Złota podkowa".
4. **Zbigniew Klaus** — Lublin, ul. Szopena 9 m. 62.
5. **Andrzej Wiśniewski** — Leszno Wlkp. ul. Leszczyńskich 49

Termin nadsyłania rozwiązań — 4.III.1949 r.

Za dobre rozwiązanie przynajmniej jednego z tych zadań przyznanych zostanie drogą losowania

5 nagród książkowych

Podział pola

Na rysunku przedstawione jest prostokątne pole z 13 drzewkami. Przy pomocy 4 prostych linii należy podzielić to pole na 13 części tak, aby w każdej części znajdowało się jedno drzewko

R Ciszewski — Bydgoszcz

LOGOGRYF

Do podanej figury wpisać pionowo 8 wyrazów pięcioliterowych o poniższych znaczeniach. Środkowy rząd poziomy, zaznaczony krzyżykami, da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Poczwarka jedwabnika w oprzędzie, 2) Pewna ilość pieniędzy, 3) Odpis z oryginału, 4) Siedziba władz radzieckich w Moskwie, 5) Miasto portowe na Krymie, 6) Miasto pow. w woj. poznańskim, 7) Ozdobna część rośliny 8) Chwast rosnący w zbożu o kwiecie liliowo - różowym

Z. Gierliński — Chełm Lub.

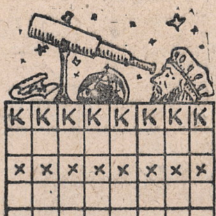

KOŁOWKA

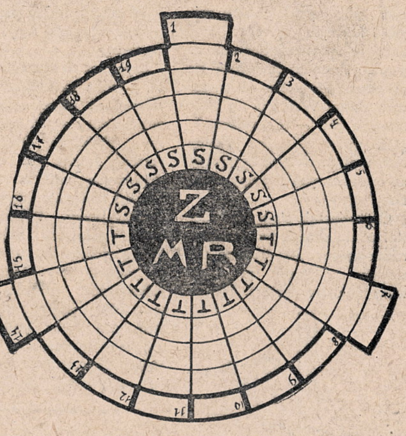

Do podanej figury wpisać 19 wyrazów dośrodkowych o poniższych znaczeniach. Pierwsze litery tych wyrazów, czytane dookoła, dadzą rozwiązanie

Znaczenie wyrazów: 1) Stary żołnierz, weteran, 2) Największa rzeka w Indiach, 3) „Biały" sport 4) Oznaczenie miejsca zamieszkania, 5) Tatrzański pasterz owiec, 6) Jednostajny głos świszczący, 7) Wzrastanie, rośnięcie, 8) Pęd, siła, 9) Rozporządzenie, postanowienie władzy wyższej, 10) Zuch, junak, śmiałek. 11) Pierwsze zadanie karty w grze, 12) Skutek, sprawienie wrażenia, 13) Część statku żaglowego, 14 Hałas, stuk, odgłos upadku, 15) Środek lokomocji wodnej, 16) Autor „Trzech muszkieterów". 17) Miasto w Belgii, gdzie Niemcy użyli gazów trujących w czasie pierwszej wojny światowej, 18) Zamęt, nieład, 19) Zgiełk, harmider, wrzask.

Z. Augustyniak — Warszawa

WIELKA PRZYGODA NARCIARZA GAŁĄZKI

(Streszczenie poprzednich odcinków: Był sobie pewnego razu doskonały narciarz, Witek Gałązka. Właśnie sypał wielki śnieg. Nieustraszony Gałązka ruszył na wycieczkę, ale był zmuszony natychmiast zawrócić, zapomniał bowiem doskonałego smaru narciarskiego. Gdy ruszył ponownie w drogę i zdobył wreszcie szczyt, który widniał tam, hen, w dali, postanowił zjechać w dół z tej karkołomnej góry).

TROCHĘ CIĘŻKO BYŁO MU ZREALIZOWAĆ TEN ZAMIAR, BOWIEM W TYM MOMENCIE SPOSTRZEGŁ, ŻE ZAPOMNIAŁ ZABRAĆ ZE SOBĄ NARTY. ZMUSZONY BYŁ WRÓCIĆ PO NIE DO DOMU.

(ciąg dalszy na stronie 10-tej)

TRYSNĘŁA nafta

TRUDNO jest patrząc na maziowatą, żółtawą ciecz wydobywaną z głębi ziemi w okolicach Krosna, Jasła, czy Glinnika Mariampolskiego, wyobrazić sobie, że powstała ona z przedhistorycznych ryb, wodorostów i krabów, które żyły w wielkim, sięgającym Karpat, oceanie. Tak, historia nafty, a raczej ropy naftowej, jest co najmniej dziwna.

W miarę, jak upływają dziesiątki i setki milionów lat, gorące jądro naszej planety stygło i kurczyło się coraz bardziej. W związku z tym otaczająca je skorupa, fałdowała się podobnie, jak skóra na suszonym jabłku. Wznosiły się fałdy nowych gór — i powstawały głębiny nowych mórz. Ruchy tego rodzaju nazywamy ruchami tektonicznymi skorupy ziemskiej.

Otóż zdarzało się bardzo często, że na skutek tych ruchów tektonicznych, jakieś morza zostawały po prostu przykryte wielu warstwami ziemi. Pod ogrommym ciśnieniem wielu ton ziemi — w wysokiej temperaturze — piasek zmieniał się w kamień, zwany piaskowcem, a „sadełko", jakie uciułały sobie za życia zwierzęcy i roślinni obywatele zasypanego morza — rozkładając się bez dostępu powietrza, zmieniało się w jeziorka ropy naftowej.

Teraz cały dowcip polega na tym, aby odnaleźć, gdzie znajduje się takie „jeziorko", wywiercić do niego dziurę i zbudować szyb naftowy.

A oto właśnie żuraw noszący w języku polskich nafciarzy nazwę kiwona. Jego miarowe „ukłony" poruszają tłoki pomp ssących ropę naftową z głębi ziemi.

W miejscu, gdzie geologowie odkryli obecność ropy, stawia się szyb.

Szyb jest to drewniana wieża, wysoka na kilkanaście metrów, obok której mieszczą się w prowizorycznych budach maszyny napędowe. Pierwsze uderzenie świdra jest dla obsługi szybu wielkim świętem. Później następują żmudne dni ciężkiej pracy. Półtoratonowe dłuto, zawieszone na stalowej linie u szczytu konstrukcji wieży, podnosi się w górę i opada. Kilkadziesiąt uderzeń na minutę, kilka tysięcy na godzinę— studzienka szybu powoli, ale stale się pogłębia. Trzeba coraz głębiej zapuszczać „sztukowane" na gwinty, wielkie rury, podtrzymujące ściany studzienki.

Od czasu do czasu dłuto wyciąga się na powierzchnię. Na dnie studzienki jest zbyt wiele skalnego „urąbku", który przeszkadza w pracy. Na tej samej linie wjeżdża wtedy na dół rurowata „łyżka". „Łyżka" zagłębia się w „urąbek" i nabita nim, wraca na powierzchnię ziemi, gdzie opróżnia się ją, by znów opuścić w dół po nową porcję.

Jesteśmy, a raczej świder znajduje się na głębokości kilkuset metrów. Powinien wkrótce pojawić się gaz ziemny — zapowiedź ropy.

Nie zawsze jednak wygląda to tak prosto. Jest przecież wróg nafciarzy nr. 1 — woda. Gdy wiercenie natrafia na łatwo przepuszczalne pokłady, często zalewa ona szyb, co grozi obróceniem na marne całej pracy, a nawet zawodnieniem kopalni. Rozmaicie ratują się nafciarze przed zalewem. Wiercą pomocnicze otwory, przez które pompy wysysają wodę, stosują np. przy wierceniu obrotowym dodatek iłu do płóczki, który osadzając się na ścianach studzienki, tworzy nieprzepuszczalną dla wody warstwę.

W napięciu odbywa się ostatni etap wiercenia. Bywało przecież — wybuch gazu roznosił w drobne kawałki cały szyb, bywało — ropa trysnęła z taką siłą, że trudno było uchwycić ją w żelazne karby rur, wiodących do zbiorników. Bywało..., no ale zakładamy, że wszystko odbywa się normalnie.

Najpierw więc jest gaz. Wtedy wyciąga się dłuto i specjalnym urządzeniem zamyka otwór studzienki (jest to tak zwana eksploatacja zamknięta). Gaz rurociągiem wędruje do zbiornika, kiedy odejdzie gaz, kolej na ropę.

Wiercenie skończone. Wieżę szybową można rozebrać. Teraz już tylko powoli kołysze się skrzypiące, drewniane ramię „kiwona", poruszające tłok pompy. Ropa płynie do zbiorników.

Wrogiem nr. 1 nafciarzy od dawien dawna jest woda. Zupełnie natomiast nieoczekiwanym przyjacielem nafciarzy okazały się bakterie. Bakterie stosowane są do prac poszukiwawczych. Rozwijając się lepiej na podłożach, sąsiadujących z ropą, wskazują na jej obecność w miejscu, skąd pobrana była próbka ziemi.

Zupełnym paradoksem może się wydać, że mikroskopijne bakterie mogą zwiększyć ciśnienie w pokładzie roponośnym i wywołać obfitsze wydzielanie ropy. A jednak tak jest.

Bakterie (specjalny gatunek szybko się rozrastający), wprowadzone do pokładu roponośnego, wytwarzają kwasy organiczne i dwutlenek węgla. Kwasy rozkładają skały wapienne, uwalniając zawartą w nich ropę, a dwutlenek, a także same bakterie wywierają ciśnienie, wypychające ją w kierunku studzienki szybowej. Prace nad tym nowym zastosowaniem bakterii prowadzone są tymczasem tylko w laboratoriach. Fachowcy przewidują jednak, że ten nowy sposób pozwoli zwiększyć wydobycie ropy o 35 proc.

To są perspektywy na przyszłość. Pomyślnych perspektyw na przyszłość jest przed ropą naftową więcej.

Wiele zmieniło się po wojnie w krośnieńskich, czy gorlickich rejonach naftowych. Nie prowadzą już rabunkowej gospodarki zagraniczni kapitaliści, nie plądrują bezkarnie pól naftowych, nie zawadniają, na skutek własnej chciwości prowadzenia, obliczonej jedynie na zysk produkcji, kopalni.

Planowa eksploatacja złóż roponośnych, użycie nowoczesnych urządzeń technicznych, oszczędza strat surowca, usprawnia zwiększa produkcję.

W kilku nowopowstałych szkołach (przed wojną zawodowe szkolnictwo naftowe prawie nie istniało) młodzi nafciarze uczą się swego trudnego zawodu. Są to wasi koledzy. Mają 15, 16, 17 lat. Uczą się z zapałem, z takim zapałem, jaki może dać umiłowanie swojego zawodu i praca — nie dla angielskiego czy amerykańskiego kapitalisty, ale dla siebie, dla swego kraju.

K. S.

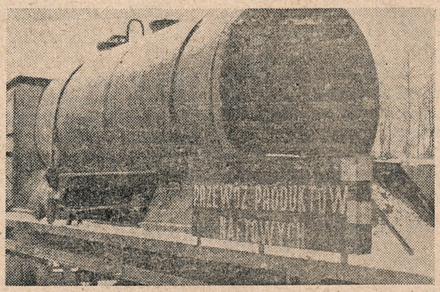

Od Łukasińskiego, aptekarza z Krosna, który po raz pierwszy otrzymał z ropy naftowej — naftę, upłynęło około stu lat... Przez ten czas ropa naftowa stała się jednym z decydujących surowców w gospodarce człowieka — przyczyną wielu awantur i wojen. Nauczono się otrzymywać z niej cały szereg półfabrykatów. Podstawowe — to oczywiście nafta i benzyna. A poza tym: olej, smary, gliceryna, farba drukarska anilinowa, i t. d.

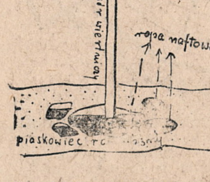

Torpeduje się nie tylko statki. Torpeduje się również pokłady roponośne. Oto właśnie w warstwie potworzyło się szereg jeziorek ropy naftowej (patrz artykuł).

Kiedy pompy wyczerpią ropę z jeziorka, do którego dotarł otwór wiertniczy, do jego wnętrza zostaje wrzucony pocisk dynamitowy.

Jego wybuch połamie ścianki piaskowca, oddzielające pozostałe jeziorka ropy i spłynie ona wtedy pod otwór wiertniczy, skąd ją znowu będą czerpać pompy.

WIELKA PRZYGODA NARCIARZA GAŁĄZKI

(Streszczenie poprzednich odcinków: Gałązka wybrał się na wycieczkę, zapomniał jednak smaru i zawrócił. Gdy wyruszył ponownie i zdobył już szczyt góry, stwierdził z przykrością, że pamięć w tym dniu wyjątkowo mu nie dopisuje, zapomniał bowiem nart. Wrócił po nie...).

JEGO WSPANIAŁE DESKI STAŁY SOBIE W KĄCIE. GAŁĄZKA ZANIM JE ZABRAŁ, OTWORZYŁ RADIO, CHCĄC Z KOMUNIKATU PIM-a DOWIEDZIEĆ SIĘ, CZY ŚNIEG JESZCZE PADA, BOWIEM ZGODNIE ZE SŁABĄ PAMIĘCIĄ ZAPOMNIAŁ OSOBIŚCIE POPATRZEĆ W OKNO. NAGLE WSZEDŁ LISTONOSZ I Z RANNĄ POCZTĄ PRZYNIÓSŁ „ŚWIAT MŁODYCH". GAŁĄZKA WZIĄŁ NUMER, PRZECZYTAŁ POWIEŚĆ POD TYTUŁEM „WIELKA PRZYGODA NARCIARZA GAŁĄZKI" I WIĘCEJ NA WYCIECZKĘ SIĘ NIE WYBIERAŁ.

KONIEC.

W lutym, poranne audycje radiowe (godz. 8.55) poświęcone są Szopenowi i jego muzyce.

23 lutego „W dzień urodzin Szopena" i 25. „O polskich tańcach ludowych w twórczości Szopena".

28 lutego „Uczymy się śpiewać z nut".

Audycje dla dzieci o 11,40, to 23 lutego „Dzieciństwo Fryderyka Szopena" audycja słowno-muzyczna w opracowaniu Lecha-Miklaszewskiego, — „O waltorni i klarnecie" — 25 lutego i 28 — „Siedem przedmiotów, siedem zagadek" (fragment książki Iljina „100.000 dlaczego").

O 15.30 znów zasiadamy przy głośniku.

22 lutego słuchamy pagadanki o węglu.

23 — zapoznamy się z utworami kompozytora rosyjskiego Mussorpski'ego.

24 lutego uczymy się śpiewać pod kierownictwem prof. Bronisława Rutkowskiego.

Kończy się karnawał, a zaczynają zapusty, słuchajmy więc o nich 26 lutego.

27 zasiadamy przy głośnikach znacznie wcześniej niż zwykle, gdyż już o 13,50 zaczyna się audycja z Krakowa „Syn pułku", opracowana według słynnej powieści Katajewa.

28 lutego znów o zwykłej porze tj. o 15,30 pogadanka H. Zwodzińskiej - Juszczakowskiej „Książki mówią".

Starsza młodzież nastawia radio o 16,30, by 24 i 28 lutego posłuchać dalszych odcinków powieści „Archipelag Ludzi Odzyskanych".

22.II. rozpoczniemy „Rok szopenowski" pod kierownictwem Lecha Miklaszewskiego, a 26 bm. zostanie nadany specjalny reportaż dla zetempowców pt. „Młodzież uaktywnia wieś".

LUŹNE kartki

KONKURENCJA, CZY WSPÓŁPRACA?

Szereg czytelników „Świata Młodych“ zdobywa sprawności Harcerskiej Służby Informacyjnej, wielu spośród nich jest równocześnie korespondentami „Świata Młodych“...

...Tragedia, że „komar nie kuca“, zawołał Janek i napisał dwa listy, jeden do redakcji, drugi do H. I.

...„Dwóm bogom służyć nie można“ — jęknęła Wanda i pobiegła na pocztę, by nadać dwie kartki.

Co robić — pytają się redakcji „starzy“ korespondenci „Świata Przygód“, a obecnie „Świata Młodych“?

Komu służyć? — zwracają się z prośbą o radę korespondenci H.S.I. Pytającym należy zawsze odpowiedzieć — brzmi hasło redakcji.

Jeśli nie chcesz zostać biurokratą, sprawę załatw od ręki — twierdzi referent HSI Naczelnictwa ZHP.

— Walka czy pokój — zapytał przez telefon redaktor „Świata Młodych“?

— Konkurencja czy współpraca? — odpowiedział pytaniem referent HSI.

Odpowiedź mogła być tylko jedna — WSPÓŁPRACA.

Przy ustalaniu form współpracy pomiędzy korespondentami HSI a korespondentami pisma, okazało się, że obawy Wandy, Janka i wielu innych czytelników pisma są nieuzasadnione. Bez szkody dla zdobywania sprawności HSI można należeć do Koła Korespondentów — i odwrotnie — Koło nie powinno mieć nic przeciwko temu, by jego członkowie zdobywali sprawności.

Jakie są bowiem cele i zadania zdobywających sprawności HSI?

Zadaniem korespondenta jest wypełnić dwa zadania miesięcznie, które polegają przede wszystkim na zdobywaniu wiadomości z życia harcerstwa. Oprócz tego wymaga się od niego czytania pism młodzieżowych, współpracy z zespołem redakcyjnym gazetki ściennej i nadsyłania opinii swojej i kolegów o „Świecie Młodych“.

Koła Korespondentów mają zadanie przysyłania do redakcji kronik z życia szkoły i reportaży z miast, w których pracują. Szczegółowe plany pracy Kół omawiane są na comiesięcznych zebraniach w lokalach ZMP, a później realizowane praktycznie.

Jak widzicie więc, Wando, Janku i ci wszyscy, którzy pragną zdobywać sprawności HSI, a równocześnie być korespondentami pisma, lub też należeć do Kół Korespondentów — możecie śmiało jedno i drugie robić.

Dla zupełnego uspokojenia Waszego sumienia, zdradzimy Wam jedną tajemnicę. Wiadomości interesujące redaktora „S. M.“, a nadesłane do HSI, zostają mu przekazywane. I na odwrót — meldunki z życia organizacji nadesłane do redakcji zostają przekazywane do HSI.

Aha, jeszcze jedna tajemnica ujawniona. W opracowanych świeżo sprawnościach HSI przewiduje się obowiązek jak najżywszej współpracy z pismem, no a jeśli chodzi o stosunek pisma do HSI, to najlepiej o nim świadczy szpalta zarezerwowana specjalnie dla wiadomości przekazywanych przez Harcerską Służbę Informacyjną.

JERZY B. KLIMA

„...Z wielkim entuzjazmem moi koledzy powitali „Świat Młodych“. W związku z tym (na to konto — jak się to mówi) zaproponowałem moim siedmiu kolegom szkolnym utworzenie Koła Korespondentów. Moja decyzja została przyjęta...“ Autora tego fragmentu listu, nadesłanego do naszej redakcji, kol. Jana Ptaszkowskiego z Oświęcimia wraz z jego kolegami serdecznie przyjmujemy do grona pracujących już Kół Korespondentów „Świata Młodych“ i jako pierwsze zadanie proponujemy ustalenie na najbliższym zebraniu szczegółów napisania wspólnej, aktualnej kroniki oświęcimskiej.

TELEFONEM OD NASZEGO SPECJALNEGO KOŁA KORESPONDENTÓW W GRODZCU:

„...Irytujemy się, bo zaczęliśmy organizować Koło Korespondentów w Grodźcu. Mamy już przygotowane stosy materiałów do druku, a redakcja jak milczy, tak milczy...“ Milczymy, bo nie znamy Waszego numeru telefonicznego. Ale przysyłajcie jak najszybciej te materiały. Czekamy i...

ORGANIZATOR SZCZECIŃSKIEGO KOŁA KORESPONDENTÓW, — ALEKSANDER DRZEWIECKI DONOSI:

Poszliśmy do portu. Najbliższe miasta są Bulwary, czyli Wały Chrobrego. Tu stoją statki pasażerskie. Dalej stoi pod parą „Swarożyc“, duży lodołamacz-holownik. Naszą kochaną, wspaniałą Odrą płynie drobna kra. Po brzegach cienka skorupa lodowa. Nad wodą krążą mewy. Jasio chce się popisać swą wiedzą o zwyczajach marynarskich i mówi:

— Wiecie, marynarze i rybacy mówią, że mewy przemieniają się w dusze dzielnych...

— ...szczurów morskich — wpada mu w słowo Bolek.

Następuje krótkotrwała kłótnia, co nie przerywa nam jednak marszu naprzód. Idziemy dalej. Tam pracują dźwigi. Szybko i sprawnie przynoszą węgiel z oczekujących sznurów wagonów w otwarte luki statków. Im to zawdzięcza Szczecin przedterminowe wykonanie planu załadunków, im i ludziom pracującym tu na wysokich wieżyczkach dźwigów. Maszerujemy dalej. Tu przeładowuje się rudowęglowce. Ciekawią nas statki — goście z dalekich krajów. Skąd pochodzą? Jak się nazywają? Pod jaką banderą płyną? Podchodzimy bliżej, gdy... tuż przed nami wyrasta olbrzymia postać wąsatego strażnika. Trzy pytania: — „SKĄD? DOKĄD? i PO CO?“ — zbiły nas zupełnie z tropu. Wyjąkałem odpowiedź na pierwsze pytanie — ...niby — mówię — ze „Świata Młodych“ — chcieliśmy...

ale już dalej nie potrzeba się było tłumaczyć. Przepuścił nas bez słowa.

Tuż obok, po prawej stronie rusza radziecki rudowęglowiec. Właśnie holuje go „Łoś“. Tak dojdą do Świnoujścia, a potem rudowęglowiec popłynie o własnych siłach... Lina powoli wynurza się z wody, chwilę luźno się kołysze, a potem wypręża i statki ruszają.

Wędrujemy już dość długo. Wszędzie krany i statki, statki i krany. Nagle... słyszymy potężne uderzenia parowej „baby“. Dokoła niej kręcą się robotnicy. „Baba“ wznosi się co chwila na 10-metrowym rusztowaniu.

— Ile „toto“ waży? — pytam jednego z robotników.

— Niewiele, tysiąc kilogramków — słyszę odpowiedź.

Ta „baba“, stalowa beczka zabija tzw. pale Larsena pod nowe rudowęglowe nabrzeże. Pale mają po 15 metrów długości i zazębiając się o siebie tworzą potężne, mocne bulwary, mogące wytrzymać ogromne ciśnienie.

No, tak. Port szczeciński rozwija się wspaniale.

POCZTA

Nawał materiału do działów „listem poleconym“ i luźne kartki“ — „wypchał“ z tego numeru odpowiedzi redaktora pisma.

Ci wszyscy — których prace nie znalazły do tej pory oddźwięku — niech oczekują poczty — która się ukaże w 4-tym numerze „Świata Młodych“.

Sport MŁODYCH

GRY NA ŁYŻWACH

Dzieci umiejące jeździć na łyżwach chętnie próbują swych sił na torze łyżwiarskim. Lecz o wiele przyjemniejsze są popisy w różnych grach. Gier łyżwiarskich jest dużo. Opowiemy wam dziś o kilku najprostszych, korzystając z tego, że jest jeszcze mróz i lód jak to się mówi „trzyma“.

WYŚCIGI PARAMI

Gdy próbujesz swych sił w jeździe szybkiej na czas, wszystko zależy od ciebie samego. Zupełnie inaczej przedstawiają się wyścigi parami, gdyż musisz uzgadniać swoje ruchy z ruchami partnera.

Ustawcie na starcie kilka par. Co do punktacji umawiamy się, że największa ilość punktów odpowiadać będzie ilości par uczestniczących w wyścigu. Jeżeli, np. w wyścigu bierze udział cztery pary, to parze zdobywającej pierwsze miejsce przyznaje się 4 punkty, następnej 3, 2 itd.

Niemniej interesujące są wyścigi trójkami. Przeprowa-

dzić je można przy większej ilości chłopców i dziewcząt. Trójkę ustawia się w ten sposób, że dziewczynka zajmuje środkowe miejsce, a chłopcy po bokach.

Dystans w wyścigu nie powinien być dłuższy niż 100 — 200 metrów, względnie 300 — 400 dla starszych.

„PISTOLET“

Wielu z was jeżdżąc na śligawce chętnie popisuje się „figurą“ polegającą na przysiadzie z jednoczesnym wyprostowaniem jednej nogi. Figura taka w języku łyżwiarskim, nazywa się , ,pistolетem“, a technika jej wykonania nie jest wcale trudna. Przede wszystkim najpierw należy nauczyć się kręcić w kółko na obu nogach, nieco zgiętych w kolanach.

Jeżeli opanujesz takie „kręcenie się“, staraj się kręcić tylko na jednej nodze, drugą podnosząc do góry.

Wykonajcie to samo ćwiczenie zarówno z lewą jak i prawą nogą.

DRZAZGI

Na ew. mecz. bokserski juniorów Węgry — Polska, został ustalony następujący skład naszych młodzików: Liedtke, Czajkowski, Matloch, Debisz, Kaźmierczak, Sznajder, Koleczko, Stec...

* * *

Na łyżwiarskich mistrzostwach świata w Konsbergu, zawodniczki radzieckie Isakowa, Holszezewnikowa i Żukowa zajęły w klasyfikacji ogólnej trzy pierwsze miejsca.

* * *

W otwartym konkursie skoków w Spindlerowym Młynie, Stanisław Marusarz zajął dopiero czwarte miejsce za dwoma Czechami i Finem. Marusarz uzyskał 302,5 punktów przy długości 65, 65, i 61,5,

Chcemy ładnie śpiewać!

Dziś „Świat Młodych“ nauczy wszystkich czytelników pogodnej piosenki z radzieckiego filmu młodzieżowego „Dzieci kapitana Granta“, opartego na znanej powieści pod tym samym tytułem.

Ze szczególnym zapałem będą śpiewali ten marsz ci, którzy oglądali film lub czytali książkę i może już trochę znają melodię. Inni postarają się sami, lub z pomocą nauczyciela śpiewu, odczytać nuty i też dołączą się do chóru

Uwaga! Raz, dwa, trzy... Zaczynamy!

Piosenka o kapitanie

Słowa: W. Lebiediew - Kumacz — **Muzyka: I. Dunajewski**

Tłumacz.: W. Woroszylski

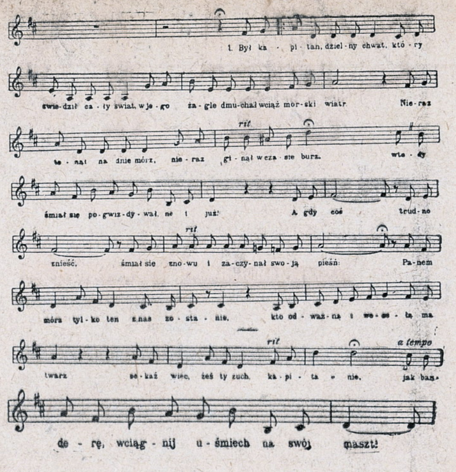

REFREN:

Panem mórz tylko ten z nas zostanie,
Kto odważną i wesołą ma twarz,
Pokaż więc, żeś ty zuch kapitanie,
Jak banderę wciągnij uśmiech na swój maszt!
bis

II.

Ale raz, gdy morski prąd
Rzucił go na obcy ląd,
Wielka miłość przyszła doń, nie wiem skąd.
I kapitan, dzielny chwat
Zaczerwienił się i zbladł,
Bo zrozumiał, że tym razem to już wpadł.
Zgubił śmiech,
W oczach nikł,
Lecz mu piosnki nie zaśpiewał wtedy nikt:

REFREN...

Redaktor sportowy odpowiada

Kol. A. G. SOKOŁÓW. — W książkę o metodyce treningu zaopatrzyć się możesz, pisząc na adres Księgarni Wojskowej, Warszawa, Królewska 2, prosząc o książkę „Boks“ z cyklu popularnej biblioteczki sportowej GUKF.

W rękawice bokserskie najlepiej zaopatrzyć się w jakiejś składnicy sprzętu sportowego, np. w Łodzi „Spółdzielnia Harcerska“ Czuj - Czyn“.

Kol. DOMOŃ, TARNOW. — Jeżeli należysz do ZHP lub ZMP, dowiedz się, czy twoja drużyna nie wyjeżdża w lecie nad morze.

W przeciwnym razie, poproś rodziców, by wyjeżdżając na wczasy pracownicze postarali się o skierowanie do którejś z miejscowości nadmorskich.

Z czego się śmieją twoi koledzy w...

... Związku Radzieckim

CZY PRZESKOCZYSZ

W środku pokoju ustaw trzy pary krzeseł, tak, by pomiędzy krzesłami była odległość około dwóch kroków.

— Zadanie polega na tym — oświadczasz kolegom — by przeskoczyć kolejno wszystkie krzesła, nie potrącając przy tym żadnego z nich.

Sam, pokazujesz jak praktycznie przeskakiwanie takie ma wyglądać, a ponieważ wszyscy zgodnie stwierdzą, że nie jest to żadna sztuka. proponujesz by powtórzyli kolejno to samo ćwiczenie z zawiązanymi oczami. Chętni na pewno się znajdą. Wówczas wybierasz sobie sześciu kolegów, a pozostałych odeślesz do innego pokoju, zaznaczając, że wzywać będziesz ich na ten „egzamin" oddzielnie.

Sześciu pomocników potrzebnych ci będzie po to, by w odpowiednim momencie na twój znak, bez hałasu, ostrożnie odstawili krzesła na bok.

Wówczas wołasz pierwszego ochotnika. Przed nałożeniem mu opaski objaśniasz go dokładnie jaka jest wysokość krzeseł, ich rozstawienie, poczem zezwalasz mu na wybranie dogodnego miejsca, z którego rozpocząć ma swój „marsz". Udzielasz mu jeszcze ostatniej informacji, że twoi pomocnicy dokładnie śledzą każdy ruch i najlżejsze potrącenie krzesła będzie przez nich zauważone. Zawiązujesz ochotnikowi oczy i dajesz znak pomocnikom. Krzesła nikną z drogi.

— Zaczynaj!

Grający ostrożnie, pomału podnosi nogi, przechodzi ucieszony przez puste miejsce, budząc śmiech patrzących. A gdy wreszcie przekona się na czym polegał kawał, z pewnością będzie siedział cicho, by „odegrać" się na następnych.

(Zatiojnik)

— Mój ojciec już wszystkie książki przeczytał.

— Skąd wiesz o tym?

— O, bo już od dawna niczego nie czyta. („Krokodił").

AMERYKAŃSKIE WYCHOWANIE

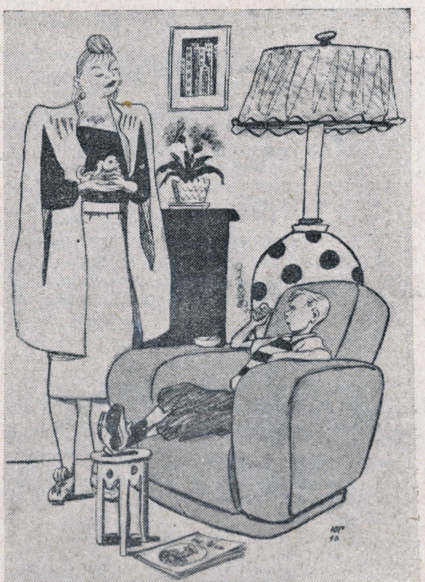

— [illegible], w dniu twoich urodzin podaruję ci zegarek.

— Podaruj mi lepiej rewolwer, to sam sobie zegarka poszukam.

(„Krokodił").

... Czechosłowacji

— Czy długo na mnie czekasz, Tadziu?

(Dikobraz)

W CZESKIEJ SZKOLE:

Student Tordy dostał „dwóję" z łaciny. Profesor, który go egzaminował, pokiwał głową i mówi:

— No i nie umiałeś. Jak właściwie chcesz się dalej uczyć, kiedy nie potrafisz przywiązać należytej uwagi do innego języka?

— Bo, panie profesorze — odpowiada Tordy — mama mi zawsze mówi: „ucz się, ucz się ciągle, syneczku, a na inne rzeczy nie zwracaj uwagi".

(Dikobraz)

Bez podpisu.

Praktyczny sprzedawca.

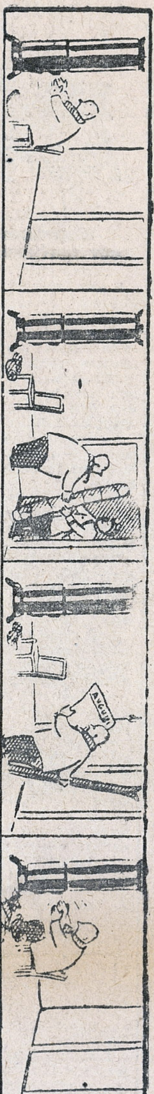

Praktyczny prezent (*Dikobraz*)

... Rumunii

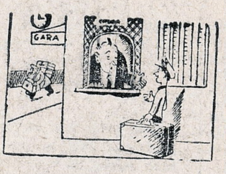

— Proszę bilet do Bukaresztu

— Która klasa?

— Siódma szkoły powszechnej.

(Jurnalul Copiilor)

(W Anglii istnieją piłkarze zawodowi)

— Dlaczego nie idziesz do pracy?

— Czy nie widzisz, co ja robię? Przecież pracuję.

(Sportul Popular)

(Piłkarskie mecze w Poł. Ameryce słyną z awantur i brutalnej gry).

— Co, już wracasz z meczu?

— Tak. Bardzo nieciekawe zawody. Dopiero jednego gracza do szpitala odnieśli.

(„Sportul Popular").

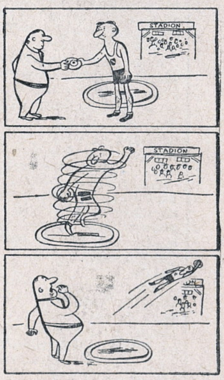

na Węgrzech

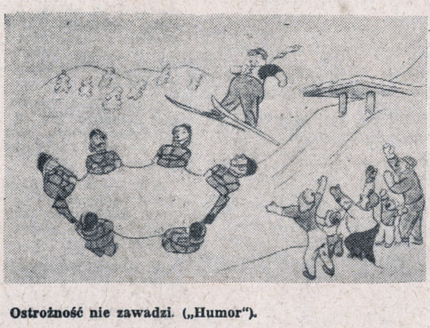

Ostrożność nie zawadzi. („Humor").

„ŚWIAT MŁODYCH"
Tygodnik Związku Harcerstwa Polskiego

Wydaje: Sp. Wyd. - Ośw. „Czytelnik"

REDAGUJE: zespół
ADRES REDAKCJI: Warszawa, Dworkowa 1/3, tel.: 432-57, 432-58.
ADRES ADMINISTRACJI: Warszawa, ul. Daszyńskiego 16.
DRUK: Zakł. graficzne „RSW" Prasa — Smolna 12.
WARUNKI PRENUMERATY: Cena egzemplarza 10 zł, w prenumeracie miesięcznej 35 zł, kwartalnej 100 zł. Prenumeratę zamawiać przekazem PKO — wpłacać na konto czekowe PKO 1-8001. „Świat Młodych"

B-68953